

Magdalena Samozwaniec

MŁODOŚĆ DLA WSZYSTKICH

WSTĘP

Niniejsze dziełko będzie posiadało inny charakter niż owe liczne publikacje z dziedziny savoir wivere'u, które się u nas ukazały po wojnie. Ma to być życiowy poradnik dla starych i młodych. Będzie tu mowa nie tylko o ubraniu, jedzeniu, przyjmowaniu gości, o tym, jakie gatunki alkoholu winno się podawać do poszczególnych dań, ale także o tym, jak się zachowywać w różnych sytuacjach życiowych i jak zachować młodość w późniejszym wieku.

Nasze rady i wskazówki życiowe będziemy traktowali lekko, z przymrużeniem oka — ale miejmy nadzieję, nie ze skrzywieniem ust — Czytelnika. Będzie to lektura typowo familijna: żona odczyta mężowi wszystkie złośliwostki wypisane na jego temat wykrzykując co chwila: „Ach, przecież to jak gdyby twój portret!” Mąż zaś, mając w ręce ową książkę, będzie się zaśmiewał radośnie, odnajdując w niej coraz to obraz swojej żony. Babuni też się dostanie i dziadkowi, dla obojga znajdzie się tu dużo rad i uwag krytycznych.

Nie będziemy oszczędzać ‘nikogo i każdy w owym dziełku znajdzie coś dla siebie, w sumie coś pokrępiającego dla ducha, ponieważ jak powiedział pewien francuski pisarz starszego pokolenia: „Nie ma nic równie zabawnego jak ŻYCIE”.

Nie zawsze jednak jesteśmy tak optymistycznego zdania o życiu, które potrafi nam nie tylko płatać złośliwe figle, ale i gorsze rzeczy — o których tutaj nie będziemy wspominać, ponieważ wiemy o nich aż nadto dobrze — ale miłych i radosnych godzin dostarcza nam ono chyba w równej mierze.

Gdybyśmy kulę ziemską wyobrazili sobie jako olbrzymi pojazd, tak wielki, że ruchów jego nie czujemy, pojazd, w którym otwierają się nagle drzwiczki, a niewidzialna dłoń spycha poszczególnych pasażerów w przestrzeń kosmiczną, to zrozumiemy, iż najważniejszą rzeczą w owej ekspedycji „w nieznanie” jest jakoś możliwie wygodnie się urządzić, co już tylko od nas samych zależy. Pierwszym warunkiem, aby to osiągnąć, jest optymizm i poczucie humoru.

Francuzi mają doskonałe powiedzenie o ludziach, którzy się wciąż martwią i trapią: że „rozgniatają czarną farbę”. Każda choroba, każde nieszczęście potęguje się tym bardziej, im bardziej o nim, rozmyślamy i się zastanawiamy. I dlatego lekarze nie powinni choremu na złośliwego nowotwora mówić, co mu jest. Błogosławiona błaga, że mu nic takiego nie grozi, polepszy jego stan psychiczny i fizyczny, ponieważ żaden ból nie jest tak dotkliwy jak uczucie lęku. To samo jak chodzi o ludzi starych, którym nie powinno się wciąż dawać do zrozumienia, że są chorzy na tę również nieuleczalną i śmiertelną chorobę, jaką jest starość, ale przeciwnie: wmawiać im, że są wiecznie młodzi i że wszystkich młodych przeżyją.

Jednym słowem nie należy rozpatrywać i zagłębiać się w swoich biedach i niepowodzeniach. „Nie tylko że mam zmartwienie, ale jeszcze powinienem się martwić — tego byłoby już za wiele” — powiedział kiedyś pewien mądry pan. Wspaniałą terapią na wiele strapiień i niepowodzeń jest pies — ten wesołek i kłown dany człowiekowi przez Boga. Kto posiada w domu takiego czworonogiego pajaca, ten musi się kilka razy w ciągu dnia roześmiać. Oprócz psa, którego powinno się mieć w domu, o ile warunki na to pozwolą, należy zmartwienia przewietrzać, czyli wychodzić z nimi na spacer. Leżenie na tapczanie i rozpamiętywanie jakichś swoich życiowych niepowodzeń czy klęsk potęguje ich znaczenie i może doprowadzić do rozstroju nerwowego, tym bardziej że palcze mając jakieś strapienie palą bez opamiętania. Po godzinie popielniczka jest po brzezi napełniona szarym popiołem, a głowa — sadzą czarnych myśli. Każde

nieszczęście zmaleje, gdy się z nim i swoim pieskiem na smyczy wyjdzie na ulicę. Nasze rady i przestrogi zaczniemy od ludzi starych, których niesłusznie zwalnia się od wszelkiej odpowiedzialności i traktuje nieraz jak małe pędraki, które dopiero uczą się chodzić i winny jeść kaszkę na mleku i mielone kotleciki... Starzy ludzie nie zawsze są niedołążni, czasem są po prostu leniwi, nie chce im się wyjść na dwór, gdy jest niepogoda, nie chce im się wiele. „Nie pójdę wieczorem do kina lub teatru, bo trzeba późno wracać”. Budują sobie zawczasu „Domek Babci Mały”.

Dwie rzeczy zapobiegają starości — władza i sława, obie trudne do osiągnięcia, przypadające w udziale tylko wybrancom. Dla przeciętnych ludzi pozostaje Przyroda, która tak samo udziela swoich licznych skarbów i urody życia młodym i starym. No i gra w brydża.

MOŻNA BYĆ STARYM, ALE NIE NALEŻY TEGO PO SOBIE POKAZYWAĆ

Czy to się da zrobić? Tak, ale trzeba zacząć od wczesnej starości. Jestem sama z branży, więc mogę sobie pozwolić na krytykowanie obyczajów i zachowania ludzi w wieku podeszłym. „Podeszłym”? Skąd się wziął ów; przymiotnik? Bo i komu taki wiek „podchodzi”? Chyba tylko osobom jeszcze trochę od nas leciwszym, które się cieszą, gdy nam siedemdziesiątek stuknął na zegarze lat. A przymiotnik „wiekowy”? Czy nie nasuwa on nam ponurych myśli o wieku, ale wieku od trumny? Starość to przede wszystkim zły przykład, osoby starsze, ale dobrze się trzymające widzą na wszystkie strony swoich rówieśników w formie zgrzybiałych dziadków i babek i z przerażeniem myślą: Oto moja przyszłość — tak będę wyglądać za kilka lat...

Radą na to jest starać się otaczać ludźmi młodszymi od siebie, a nie starszymi, którzy poza tym mają zwyczaj wspominać dawne dobre wspólne czasy, a co więcej wymieniać kompromitujące daty.

Pamiętam, jak po wojnie siedzieliśmy w większym towarzystwie w jakiejś restauracji, między nami była przedwojenna gwiazda teatralna, która młodych ludzi czarowała swym wdziękiem i urodą. Wśród tego towarzystwa znajdował się również pewien starszy aktor.

— Ach, pani Marysiu — rzekł rozmarzony kilkoma wódkami — czy pani pamięta, jak pani stawiała pierwsze kroki na scenach warszawskich, jeszcze za carskich czasów. Ja byłem ubogim studentem. Razem składaliśmy się na herbatę i serdelki. Tak, tak, ubodzy byliśmy, ale młodzi. Życie było przed nami — a dziś... Młodzi adoratorzy ze zdumieniem spojrzeli na wciąż jeszcze ponętą kobietę i zaczęli w myślach liczyć jej lata, po czym, o ile mnie pamięć nie myli, poszli tańczyć z młodymi panienkami.

A więc unikać, o ile się da, ludzi z dawnych epok, szczególnie mężczyzn, którzy ze starczą, podświadomą może złośliwością będą opowiadać, jak to z nami wycinali hołubce na balu w roku... Bóg wie którym, w każdym razie wtedy, kiedy jeszcze nikogo z młodszego pokolenia na świecie mię było.

Mniej kompromitujące bywają nasze rówieśnice, które na ogół wstrzymują się od relacji z tych dawnych, dobrych czasów, kiedy to na balach czterech tancerzy jednocześnie chciało je zaprosić do mazura: „Ale cóż — wzdychają — to już nie ta młodzież co dawniej...” Mają za to inny zwyczaj, a mianowicie odejmowania sobie lat w zestawieniu z latami swojej koleżanki z tej samej epoki. Mówią na przykład w ten sposób: „Gdy ja chodziłam z Marysią, czekając na rozwiązanie, to jej Zosia już gadała i biegała...”

Proponuję moją zasadę: „Nie licz — aby ci nie liczono”. I żadnej rówieśnicy nie

wyliczam lat.

Kobiety wyprawiają różne sztuczki, ażeby/się odmłodzić, zupełnie jak gdyby młodym nie było wszystko jedno, czy baba ma sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt. Już jej przylepili tytuł „starej” i nic na to nie pomoże. Są też takie odważne, które przyznają się do swoich lat, aby postarzyć przyjaciółkę, o której wszyscy wiedzą, że jest od tamtej starsza o... dziesięć lat. To już jest szczyt złośliwości.

W kawiarniach mają swoje stoliki, gdzie w oznaczonych dniach i godzinach spotykają się wyłącznie po to, aby się obgadywać nawzajem. Dzieje się jak na scenie: jedna podchodzi do owego stolika, druga za chwilę odchodzi. Ta, która odeszła, zostaje zaocznie obgryziona do ostatniego kawałka ciała przez pozostałe, które się na nią rzucają jak krwiożercze rybki pirany na tonącego.

— Byłaby śliczna — rzecze jedna z nich dowcipnie — gdyby jej głowę obciąć... Bo linię ma świetną.

— Wystarczyłoby, gdyby na twarzy nosiła zasłonę. Szkoda, że woalki wciąż niemodne. Radziłam jej, aby koniecznie utyla, bo wtedy nie byłoby takiej rażącej różnicy między twarzą a figurą. Ale ona, idiotka, dumna jest z tego, że taka szczupła...

— Ile ona naprawdę ma lat?

Oto nadszedł najsmakowitszy moment rozmowy dla owych wiedźm z Makbeta („Dalej, dalej, siostry wiedźmy — Czarodziejski krąg zawieźmy... Dalej żwawo! w prawo! hasa! hej! w lewo! — W lewo! W prawo!).

— Jej prawnuczek ma już trzy latka — zaczyna obliczać jedna z nich — to nawet gdyby była wyszła za mąż mając lat dwadzieścia, musiałyby mieć teraz siedemdziesiąt co najmniej.

— Zamówię sobie jeszcze jedną kawę. Grubo więcej! Ja skończyłam sześćdziesiąt osiem, przyznaję się do tego, ona była zawsze o dziesięć lat starsza ode mnie, więc ile ma teraz?

— Siedemdziesiąt osiem — chórem ogłaszają paniusie.

— Ale ty nie powinnaś się przyznawać do swoich lat — całkiem niepotrzebnie. Nie wyglądasz na tyle...

— A co mi tam. Mąż i tak mnie adoruje; czy wiecie — w tym miejscu przycisza dyskretnie głos — że on jeszcze wciąż może... Nieraz to jest żenujące... Rzadko mu na to pozwalam, bo jednak serce w tym wieku. Boję się o niego...

To chwalenie się sprawnością erotyczną starych mężów spotykamy u starszych żon dość często. Chcą w ten sposób zatruć dobre samopoczucie swoich kum. Uwierzą, nie uwierzą — poblagować można. Już im ciastko i kawka nie będzie tak smakować jak przed chwilą.

Moment pauzy, w którym stare buziaki zaczynają, się przeglądać w lusterkach od puderniczek. Te bardziej nowoczesne umalowane są dyskretnie, staroświeckie — nałożyły w rowki zmarszczek krwawy róż i teraz gwałtownie przypudrowują go ciemnym pudrem. Oklapłe wargi przeciągają pąsową pomadką. Z powiekami pomalowanymi na szafirowo wyglądają jak maski, które dzikie plemiona nakładają do rytualnych tańców. Przy okazji serdeczna rada: Im kobieta jest starsza, tym mniej powinna się malować i smarować. To samo zresztą mówią poradniki kosmetyczne, które możemy znaleźć w kobiecych tygodnikach.

Na razie powróćmy jednak do naszych babek z Makbeta pijących kawkę i przegryzających ciasteczkiem z kremem, co uważają za grzech przeciwko swojej wadze, ale od czego nie mogą się powstrzymać. Przyjmijmy, że spośród pięciu przynajmniej dwie są wdowami. Współcześni mężowie zwykle wcześniej umierają od

żon, prawdopodobnie z nadmiaru radości małżeńskich, no i z przepracowania. Nie wszystkie żony pracują, niektóre są wyłącznie na utrzymaniu pana dyrektora, inżyniera, profesora itp. Gdy przepracowany zamknie oczy, czyli wyciągnie nogi, „żałobna wdowa” otrzymuje dość wysoką rentę i jeszcze sobie nieraz dorabia. Pragnie przed swoimi kumami okazać głęboki żal za zmarłym (z którym sobie skakali do oczu), ale te jej wspominki brzmią dziwnie wesoło i pogodnie.

— Byłam dzisiaj u Anteczka wcześniej rano. Ach, musicie zobaczyć, jak pięknie leży. Ile kwiatów... Ode mnie świeże chryzantemy, od nieznanych adoratorów fiołki alpejskie... Grób wygląda jak jeden bukiet. Biedny, kochany Anteczek.

— A czy widziałaś grób mojego Franusia na Powązkach, w Alei Zasłużonych? Tamta czuje się dotknięta.

— Antek tylko dlatego nie leży w Alei Zasłużonych, że... nie było chwilowo miejsca... Jak się coś opróżni...

— Jak się może coś opróżnić? Pomnik kosztował mnie około trzydziestu tysięcy...

— Mnie to samo. Ale przecież Anteczkowi nie będę żałować. A tę pelisę, co masz na sobie, to chyba przerobiłaś z płaszcz Franka? Poznają kołnier z bobra.

— A co? Miały mole zjeść? Franeczek na pewno patrzy tam na mnie z góry i cieszy się, że jego nowy płaszcz tak dobrze na mnie wygląda. Dam ci adres tego krawca, który mi przerabiał. Chcesz? A ten twój pilśniowy kapelusik to jakiś mi znajomy. Chyba Antka? Kolor świetny!

— Brat męża chciał go sobie przywłaszczyć, więc ja go szybko zaniósłam do modystki — i teraz jak znalazł. Twarzowy, prawda? Biedny, kochany Anteczek. Ach, jak myśmy się kochali... Zamówię sobie jeszcze jedną kawę...

W CZYM NAŚLADOWAĆ MŁODYCH?

W modzie do pewnego stopnia. Nie szorty, nie mini i nie długie sutanny, szorujące po bucikach, ale również nie rzeczy sprzed kilku lat. Nic tak nie postarza kobiety, jak zupełne lekceważenie mody. Na przykład spodnie są dla wszystkich kobiet, nie zanadto kłębiastych i brzuchatych, i na Zachodzie babcie dawno już biegają w spodniach, a nie tak jak u nas, gdzie pod tym względem mają wciąż jakieś zahamowania. — „To tylko dla młodych” — mówią z westchnieniem. A tymczasem moda jest obecnie dla leciwych pań bardzo łaskawa. Te modne buciory z nosami jak mops, a obcasami jak kopyta końskie, czyż nie są jak gdyby stworzone dla zniekształconych i opuchniętych stóp? I jak trudno się na nich potknąć i przewrócić. A peleryny, zasłaniające nieciekawą kibić i obwisłe kształty?

Niestety, gdy tylko zaczęły być modne, smarkule rzuciły się na nie i z matczyńskich spódnic kazały sobie uszyć pelerynki. A wówczas starcze panie od razu orzekły dumnie, że to jest moda młodzieżowa, i nie sprawiły sobie tego eleganckiego stroju wymyślonego właśnie dla nich.

Przed wojną wiele eleganckich pań miało w swojej garderobie przynajmniej jedną pelerynę, a te młode tylko wtedy je nosiły, gdy pragnęły zasłonić rosnącego w ich łonie potomka. Dzisiaj potomek kolebie się jak w kołysce pod przezroczystą mini sukienką, a z peleryn młode kobiety szybko zrobiły sobie długie spódnice. Duże kowbojskie kapelusze też mogłyby nosić śmiało starsze damy. Chodzenie w zimie po ulicy z gołymi głowami jest stanowczo dla nich niewskazane. Przede wszystkim nieraz dosłownie chodzą „z gołymi głowami”, ponieważ włosy na wietrze rozburzają się i ukazują małe gołe placki...

A w ogóle to z włosami na starsze lata jest nieustająca troska i kłopot. Albo płowieją, albo rudzieją, robią się strzępiaste, rzadkie. I znowu moda przyszła w sukurs starym paniom wymyśliwszy peruki, na które za granicą kobiety rzuciły się z entuzjazmem. Kobiety — ale nie Polki, które są zbyt dumne i ambitne, aby się

stroić w cudze... włoski (choć bywają one zwykle z nylonu) i tak bardzo boją się być... śmieszne dla swojego otoczenia. A tymczasem bywają śmieszne nie na skutek stroju, tylko różnych innych obyczajów „podeszłego” wieku, z którym absolutnie nie walczą. Przede wszystkim ze względu na wiek uważają, że im wszystko wolno. Wolno im co chwila pytać: „Co? co on powiedział? Co ona rzekła?” — chociaż czasem słyszą źle nie z głuchoty, tylko z roztargnienia i nieuwagi. Poza tym powtarzanie tym samym osobom tego samego, co im się przed kilkoma godzinami powiedziało:

— Ach, muszę wam opowiedzieć, jakie miałam wczoraj zabawne spotkanie. Otóż spotkałam w autobusie jednego pana, którego znałam trzydzieści lat temu, poznałam mnie od razu i powiedział, że się nic nie zmieniłam. Na co ja zapytałam dowcipnie: „Jak to, to ja zawsze byłam taka stara”? No, czego się nie śmiejecie, ponuraki?

— Bo nam to babciunia opowiedziała już wczoraj przy kolacji i dziś przy obiedzie.

— Niemożliwe! Pierwszy raz wam to opowiadam. Chcecie mi koniecznie wmówić, że pamięć tracę.

Cała rodzina milczy mając na ustach tak modne dzisiaj słowo skleroza.

Młodzi tak samo potrafią powtarzać się, pytać udając, że mię dosłyszeli:

„słucham?”, gubić rzeczy, wsiąść do nieodpowiedniego autobusu lub tramwaju, ale ich nikt nie posądza o sklerozę. Natomiast babcia czy dziadek są podejrzani i ich zwyczajne roztargnienie przypisuje się zwapnieniu mózgu. Starzy sami w to wierzą i przyznają się do objawów sklerozy.

— Zdawało mi się, że położyłam nożyczki na swoim miejscu, tymczasem musiałam je wetknąć gdzie indziej, ale gdzie? Nie mam pojęcia, no cóż... skleroza!

— Żadna skleroza, babciu — odpowiemy — tylko dany przedmiot nie ma swojego miejsca i wszystkie przedmioty podlegają jakimś swoistym ruchom przenosząc się niepostrzeżenie z miejsca na miejsce. Kluczyki, nożyczki, a zwłaszcza niepozorny pilnik do paznokci — bywają specjalistami w owych wędrówkach. Młodzi też szukają godzinami jakiegoś wędrownego przedmiotu i zamiast wzdychać do św. Antoniego, patrona rzeczy zagubionych, powtarzają:

— Cholera, cholera, gdzie to mogło się podziać! Babcię te sprawy przygnębiają.

— Tak, tak, moje dzieci, tracę już pamięć... z każdym dniem gorzej...

A tymczasem to jest najczęściej brak tego, co Anglicy nazywają selfcontrol.

Są inne sprawy, które charakteryzują ludzi starych, a nad którymi mogliby zapanować, jak na przykład wieczne zalęknienie i niepokój, że nie wysiądą na właściwej stacji czy przystanku. W tramwaju czy trolejbusie już na trzy przystanki przedtem zaczynają opuszczać siedzące miejsce i pchać się ku wyjściu.

— Czy pan teraz wysiada, czy pani wysiada? — pytają się gorączkowo rozpychając pasażerów.

— A czy pana teraz chce wysiąść?

— Nie... dopiero na trzecim przystanku, ale mogę nie zdążyć...

To samo w pociągach. Na pół godziny przed Warszawą pytają się wszystkich wokoło:

— Czy to już Warszawa? — zaczynają z pomocą uprzejmych pasażerów ściągać swoje walizki z siatki i na gwałt nakładają płaszcze. Zapięte pod szyję, z tobołami w ręce, czekają pół godziny lub dłużej, jeśli się pociąg spóźni.

Uwaga, starzy! Młodzi się nie śpieszą, czekają do ostatniej chwili, aż Warszawa Centralna zamigocze, odkładają książkę, którą czytali, i powoli wkładają na siebie płaszcze. Nie zwierniają się też obcym ze swoich lęków i kłopotów.

— Jak pan myśli, czy syn będzie czekał na mnie na peronie? Mógł telegram nie

przyjść na czas. Wysłałam rano, ale z naszą pocztą... A córka chora, nie wiem, co to może być. Tak się niepokoję, walizka ciężka, taksówki mogą nie znaleźć. Czy to już Dworzec Centralny?

— Jeszcze nie, niech pani będzie spokojna, pomożemy pani wynieść walizkę na peron.

— A co pani córce jest, że tak się pani niepokoi? — pyta przez grzeczność i senność któraś z pasażerek.

— Ach, nie wiem... może ciąża „zamiejscowa”... ja się na tym nie znam, urodziłam zdrowo troje dzieci, mam już duże wnuki. Zaraz pani pokażę — wyciąga portfel z torebki i pokazuje amatorskie zdjęcia. — To jest najstarszy Romuś, a to Alinka, a to najmniejsze bobo, Maciek, urwis nie z tej ziemi.

Wszyscy już wstają, ubierają się do wyjścia, ale ona częstuje pasażerów zdjęciami, które nikogo nic nie obchodzą. Uwaga! Kto nie chce uchodzić za sklerotyczną staruszkę czy staruszka, niech tego unika. Nasze kłopoty rodzinne i nasze wnuczka absolutnie pasażerów nie obchodzą. Jest to dla osób starszych duży wysiłek woli, aby nie gadać w pociągu byle czego i o byle czym. Tak jak dawniej, za młodu usta same składały się do pocałunku, tak na starość rozchylają się do gadania.

Poza tym jeszcze jedna sprawa: aby nie być, a raczej nie okazywać się zanadto antydatowanym, nie należy się wybrzydzać na wszystko co nowoczesne. Nie szargać świętości młodzieżowych, jak ich ukochane zespoły big-beatowe, ich piosenkarze, którzy zachrypnięty głos wydobywają z samych trzewi, ich ulubione seksowe filmy. Nie zapominajmy, żeśmy się też w latach dwudziestych entuzjasmowali jezzem, który tak wzburzał i raził uszy starszych, i żeśmy się na gwałt uczyli modnych tańców, jak charleston, black-bottom, rumba, jawa, samba. Nie przyznawaliśmy się tak jak dzisiejsza młodzież, że obrazy futurystów, formistów, strefistów itp. nie wzbudzą w nas zachwyty. Młodzież zawsze pchała świat do jakichś zasadniczych zmian, do ekstrawagancji. Przypominała grono zawodników, którzy olbrzymi baseball pchają i ruszają z miejsca. Obecnie zepchnęli świat — do dżungli i to jest objaw co najmniej niepokojący. Modna seksomania bardzo przypomina falliczne obrządku prymitywnych plemion. Pokazywanie na zdjęciach, nawet w czasopiśmie literackich, gołych piersi to jak gdyby naśladownictwo zdjęć murzyńskich wiosek. Wielkie zarośnięte łby chłopaków; — to również puszcza afrykańska, długie, rozpuszczone włosy dziewcząt — jak gdyby obrazki z Wysp Polinezyjskich, a rzeźby? Afrykańskie totemy jakżeż częstym są motywem naszych młodych rzeźbiarzy.

Piękno — zastąpiła koszmarna brzydota i na to chwilowo nie ma rady. Taka moda. Starsi zamiast się oburzać powinni z zaciekawieniem spoglądać, do czego to dojdzie, i czekać, kiedy nagle nastąpi totalny przewrót. A w każdym bądź razie nie postępować tak jak pewna babcia, która duży karton swojej córki-plastyczki przedstawiający jakieś poskręcane brunatno-żółte formy kazała sobie powiesić nad łóżkiem.

— Tak się babci spodobała moja kompozycja? — zapytała uszczęśliwiona wnuczka.

— To nie to, moje dziecko, tylko widzisz... ja mam duże trudności z wypróżnieniami, a jak na ten obraz spojrzę, to mnie rusza. Bardzo sugestywne dzieło.

Nie należy również spoglądając na szorty spacerowe wnuczki zawołać:

— Ja bym się wstydziła tak pokazać na ulicy! Jest to sprowokowanie wybuchu śmiechu ze strony wnuczki i powiedzenia:

— No chyba, babciu, bo i jak byś ty wyglądała, ludzie na twój widok pękliby ze

śmiechu!

STARY CZŁOWIEK NA JEZDNI!

Ostatnio widzimy na ulicach Warszawy co krok staruszków opartych na dwóch laskach, babcię kulawą, całą przelewającą się na jedną stronę, starszą panią sunącą na dwóch Szwedkach. Co to się dzieje?! Ulice Warszawy wyglądają jak korytarze jakiegoś szpitala rehabilitacyjnego. W innych krajach tyłu kalek się nie spotyka.

W Londynie byłam świadkiem, jak policjant podniesioną do góry ręką zatrzymał cały ruch samochodowy dla jednego tłustego starszego pana... jamnika, który nie zdążył za swoją panią przejść jezdni przy światłach dla pieszych. Samochody posłusznie zaryły się kołami w miejscu, a czworonożny stary dżentelmen wolniutko i bezpiecznie przeszedł jezdnię. U nas na ogół kierowcy zupełnie bezkarnie przejeżdżają psy, które się na jezdni znalazły, a starsze niedołązne osoby lekceważą („niech stara klempa uważa, cholera, widzi przecież, że są czerwone światła!”).

„Uwaga! Stary człowiek na jezdni!” — takie hasło rzuciły niedawno nasze pisma codzienne, ale bez widocznego rezultatu, natomiast w tych samych czasopismach czytamy co dzień, jak samochód marki takiej i takiej potrafił starszą kobietę, która ze złamanym biodrem znajduje się w szpitalu.

Czy to jest wina kierowców wyłącznie? Nie tylko, trzeba zaobserwować ów „taniec śmierci”, który wykonują w trakcie przejścia przez jezdnię starsze osoby. Chcą przejść po pasach, ale widzą z daleka samochód, więc się cofają, kierowca trochę zwalnia, wtedy one się zatrzymują również i nagle chcą mu przebiec przed samą maską, kiedy on już nacisnął gaz. Trzeba wyjątkowego refleksu kierowcy, aby na taką Isadorę Duncan w starszym wieku nie najechać lub przynajmniej jej nie potrafić. Niebezpieczne również dla kierowcy są dwie starsze panie na jezdni; młodsza ciągnie pod ramię tę starszą, która jej się ze strachu opiera, cofa się, tamta ją ciągnie przemocą i często obie zostają potracone przez zupełnie zdezorientowanego kierowcę.

A więc uwaga, mówi się, że pieniądze leżą na ulicy. Jakie pieniądze, co najwyżej zgubiona przez kogoś złotówka, ale za to jakże często ludzie leżą na ulicy z pękniętą podstawą czaszki, złamanym kręgosłupem lub nogą. Należy pamiętać, że póty się nie jest naprawdę starym, póki nasze nogi, ta poczciwa para wysłużonych koni pociągowych, nas sprawnie wożą. Wypadki chodzą po ludziach — powtarzamy — ale o ileż częściej ludzie nie chodzą po wypadkach.

PIERWSZY STOPIEŃ DO STAROŚCI

Prawie wszyscy robimy się z biegiem lat oszczędni (żeby sobie coś na starość zaoszczędzić — mawiają osiemdziesięciolatki), ale nie tylko oszczędni, czasem skąpi do przesady. Staruszkowie odmawiają sobie wszelkich przyjemności, aby tylko uskładać trochę groszy. Zdanie „szkoda pieniędzy” mają wciąż na ustach. Na kino — szkoda pieniędzy, na kawiarnię — szkoda wyrzucać pieniędzy, również na fryzjera i na owoce. A przecież tak ich potrzebują ludzie starzy, a nie tylko te małe tłuste pędraki, które od witamin wyrastają w górę, nabierają długich nóg i bujnego zarostu.

Duch gatunku i cechująca go ambicja każe babciom i dziadusiom wysuptywać pieniążki z bólem serca jedynie, jak chodzi o dogodzenie wnukom. Przed kioskiem z owocami stoi stara babuleńka, ubrana mniej więcej jak Chochoł z Wesela („Kto mnie wołał — czego chciał — ubrałem się w com ta miał”). Kupuje banany, ale nie tak jak ja, trzy sztuki, ale całe kilo! Przy okazji zamęcza ekspedientkę:

— Niech mi pani nie daje tych przejrzałych, proszę tamte ze skrzynki, nie te —

tylko tamte.

— Muszę najpierw sprzedać te, które tu leżą, są tak samo dobre jak tamte — mówi ekspedientka.

Jak się tyle płaci, to ma się prawo wybierać — i babcia zaczyna kościstą piegowatą ręką wybierać co najpiękniejsze banany.

To samo zresztą robi z pomidorami i jabłkami, a gdy ekspedientka zwróci jej uwagę, zaczyna się kłótnia, która w obecnej mowie — zwałaby się dialogiem.

— Pani jest niegrzeczna, poproszę o książkę zażaleń.

Wybieranie upatrzonego towaru obserwowałam nawet, jak chodzi o jednakowe kostki masła.

— Ja nie chcę tej kostki, tylko tamtą! — rozkazuje staruszka.

— Przecież wszystkie są jednakowe! Co za różnica — sprzedawczyni wzrusza ramionami.

— Ale mnie się tamta kostka podoba, a nie ta, którą pani trzyma.

Rzecz w tym, że babci się zdaje „na oko”, iż tamta kostka masła, którą wybrała, jest o pół centymetra większa od innej.

Z narastaniem lat zjawia się również kult przedmiotów. Byle filiżanka, jakiś talerzyk, jakiś koszyczek, jeśli jest własnością starej ciotki czy babci, staje się tabu, którego nie wolno ruszać.

— Nie wolno tej filiżanki używać, to jest moja filiżanka!

A gdy przypadkiem stłucze się, rozpacz jest nie do opisania.

— Coście mi zrobili za krzywdę! — popłakuje.

— Przecież ta filiżanka nie była z żadnej cennej porcelany.

— Ale nieboszczyk z niej jeszcze pijał kawę! — babcia jest niepokieszona.

Staruszki chomikują w zamkniętej na kluczyk szufladzie nie tylko listy rodzinne, bo to byłoby nieraz pożyteczne, ale bezwartościowe znaczki, podarte koperty, stare bezużyteczne legitymacje, protezy, z których babcia „wyrosła”, tasiemeczki, guziczki, przedawnione czekki, haftki.

Prehistoryczny zwyczaj, aby z umarłymi chować jednocześnie do grobu ich ukochane przedmioty, które obecnie archeologowie odkopują, nie był taki naiwny, jak nam się zdaje. Może niektórym staruszkom byłoby lżej umierać, gdyby wiedzieli, że ich ukochana filiżanka, spodek, półmisco, gipsowy piesek, muszla lub porcelanowy pantofel z widoczką Kopenhagi poszły wraz z nimi do grobu.

Dziadzio lub babcia przez ostatnie lata życia nigdy ciepłą rączką nikomu nic nie dali, a nagle stają się przymusowo szczodrzy. Wyleniałe futra, popękane jedwabne suknie, jakieś łańcuszki, medalioniki, broszeczki — wszystko to idzie między ludzi. Czyli że nie warto zbierać, nie warto oszczędzać, za to warto żyć, a im się jest starszym, tym należy sobie bardziej dogadzać.

Znam jedną starą małżeńską parę, gdzie mąż, taki „ojciec Goriot”, wciągnął młodszą od siebie żonę — jak on emerytkę — w skrajną biedę, mając jednocześnie schowane pod podłogą w piwnicy ich domku całe pliki dolarowych banknotów. Gdy raz na jakiś czas szli do restauracji, jedli jedną potrawę na spółkę, przerzucając sobie z talerza na talerz co smaczniejsze kąski, i pili razem jedną szklanekę piwa.

— Nie zapominaj, kochanie, że nie możemy sobie na więcej pozwolić, musimy żyć tylko z naszych rent — mawiał ojciec Goriot.

Wieczorem robił z żoną obliczenia z całodziennych wydatków groszowych.

— Tu mi się coś nie zgadza — mąż zasepiał się i marszczył czoło — nie wyliczyłaś się ze złotówki.

— Zapomniałam powiedzieć, kupiłam gazety.

— Jak mogłaś, przecież wiesz, że ja gazet nie czytuję. Jeśli chcesz najnowszych wiadomości, to masz radio. Jak będziesz tak niepotrzebnie wyrzucać pieniądze, to niedługo pójdziemy z torbami...

— Przecież mamy jeszcze te dolary w piwnicy — szepnęła żona.

— Cicho! — ofuknął ją Goriot — jeszcze ktoś posłyszycy. — Te banknoty to na nasze pogrzeby i nie wolno nam tego ruszać.

Ale nigdy nie liczymy się dość z figlami losu, którego humorek bywa równie złośliwy, jak pomysłowy. Któregoś dnia zachciało się skąpcowi zajrzeć do swojego skarbu, do którego dawno nie zaglądał. To, co ujrzał, wstrząsnęło nim do głębi i sprowadziło na twarz trupa błądź. Oto pod deskami podłogi leżały zbutwiały od wilgoci banknoty, gdy je wziął do trzęsącej się dłoni, rozsypały się w proszek. Był to dla niego szok tak straszliwy, że postanowił skończyć z życiem. Poszedł na stryszek, wynalazł gruby sznur od suszenia bielizny, zrobił pętlę i już chciał ją sobie zarzucić na szyję, kiedy w drzwiach od stryszku ukazała się jego żona.

— Co ty chcesz zrobić! — wykrzyknęła.

— Jesteśmy zrujnowani! Dolary zbutwiały pod podłogą i rozsypały się. Nie ma już po co żyć! Powieszę się!

— Zwariowałaś! Sznur może pod twoim ciężarem pęknąć i na czym ja wtedy będę suszyła bieliznę? A czy ty wiesz, ile teraz taki porządny sznur kosztuje?

Skąpiec ze smutkiem i rezygnacją przytaknął jej głową i odłożył sznur na bok.

— Upiję się z rozpaczy! — mruknął.

— Mam jeszcze schowaną butelkę koniaku — ucieszyła się żona.

— Koniaku! Zwariowałaś! Wiesz, ile taki koniak kosztuje? U mnie za łóżkiem stoi pół ćwiartki „czerwonej”. Niech się dzieje, co chce! Upijemy się na umór...

NIE MA RÓWNOUPRAWNIENIA...

Co pomoże, że kobieta zajmuje dzisiaj te same stanowiska co mężczyzna, chodzi na te same wyższe studia, zostaje lekarzem, adwokatem czy ekonomistą, kiedy życie nie uznaje dla niej tych samych praw co dla mężczyzny i doszedłszy do dojrzałego wieku nie miewa tych możliwości erotycznych co mężczyzna, chociaż, co najdziwniejsze, pozostaje do końca życia de facto kobietą, podczas gdy mężczyzna... „Wiek męski — wiek klęski”. Ta klęska to właśnie to, że nie może podolać swoim męskim ambicjom i wówczas zaczyna tracić rozum. Łysy sześćdziesięciolatek nagle zakochuje się w młodej dziewczynie i gwałtownie żąda rozwodu od swojej starej żony, starej, to znaczy zwykle o kilka lat młodszej od niego. Żona, która już nie ma żadnych szans na zdobycie nowego męża, z początku nie chce mu udzielić rozwodu, ale w końcu zrezygnowana zgadza się.

Gdy się ich widzi razem podczas rozprawy rozwodowej, wydaje się, że nie on, tylko ona winna chcieć rozwodu. Jest jeszcze dobrze zakonserwowana, elegancką panią, a tymczasem on to mały zgarbiony, zasuszony dziadek, z łysiną błyszczącą jak księżyc. Nie upierałaby się ani chwili, gdyby nie strach przed... samotnością. Ach, biedne stare żony wiedzą dobrze, że ich nie czeka żadna miłość i że lepszy byłby do końca życia ten własny dziadyga niż... gołębie na balkonie i... stare plotkarki. Wiedziała o tym dobrze wspaniała poetka Maria Jasnorzewska i będąc jeszcze w sile wieku, napisała poemat pod tytułem: Starość. Oto fragment:

Bywają dziwacy,

którzy z pokrzyw i mleczków składają bukiety,

lecz gdzież są tacy,

którzy by całowali włosy starej kobiety?

Ale cóż, starzy panowie nie lubią starych kobiet, nie pociągają ich, chociażby

były największymi artystkami lub sławnymi pisarkami. W ogłoszeniach matrymonialnych możemy czasem wyczytać: „Samotna sześćdziesięcioletnia, dobra prezencja, duża kultura, własne mieszkanie, wysoki standard życia (Trabant) poszukuje w celu matrymonialnym starszego wdowca-emeryta”. Można przysiąc, że takiego nie znajdzie, może się co najwyżej znaleźć młody łobuz, który się z nią ożeni dla mieszkania i konta w PKO, ogołoci ją ze wszystkiego i drapnie, o czym nieraz czytamy w pismach codziennych. Dobrze jeszcze, jeżeli jej nie udusi. Ale teraz pytanie, co skłania młode, ładne dziewczyny do poślubiania obleśnych staruszków? Przeważnie powody materialne. Pan profesor albo znany pisarz, albo też dobrze prosperująca prywatna inicjatywa będzie miał z czego dogadzać młodej żonie. Główny powód — ciuchy, zagraniczne ciuchy! W dawnych czasach zmuszano nieraz córki do poślubienia starych mężczyzn. Na książęcych i królewskich dworach zdarzało się to bardzo często, bo tego wymagały jakieś racje stanu lub kombinacje rodzinne. Zdziwiłby się Fredro, autor Dożywocia, gdyby się dowiedział, że dzisiaj białe gąski z własnej i nieprzymuszonej woli sprzedają się starym kupcom. Starzy kupcy są jednak tak naiwni, że wierzą, iż młode dziewczę, pchające ich do rozwodu, jest śmiertelnie zakochane.

— Cóż ja mam robić — zwierza się żonie — ona mnie tak kocha... Powiada, że żyć beze mnie nie może. Czy mam jej łamać egzystencję?

W tych wypadkach możemy skonstatować szalone zarozumiałstwo mężczyzn, którzy w każdym wieku i nawet przy odrażającym wyglądzie uważają się za stosowny obiekt do wzbudzenia gorącego uczucia. Stara rozklepana babcia nigdy by w coś takiego nie uwierzyła.

Ale nie tylko chęć zaznania dobrobytu skłania młode kobiety do poślubiania starych rozwodników. Niektóre mają kompleks ojca, który je wcześniej osierocił, inne kompleks... dżentelmena, którego próżno szukały wśród młodych. A niejedne — nie gojącą się ranę w sercu zadaną we wczesnej młodości przez chłopaka, który ją rzucił, zostawiwszy na pamiątkę dziecko.

A poza tym jest coś jeszcze — perwersja. Dla zepsutych młodych kobiet różnica płci to jeszcze mało. Winna jeszcze dojść do tego różnica wieku. Czasem starsi panowie są tak atrakcyjni jak Gary Cooper w pięknym filmie Miłość po południu i nikt z widzów kinowych nie dziwi się młodziutkiej Audrey Hepburn, że się tak szaleńczo zakochała w facecie, który mógłby być jej ojcem. W literaturze często spotykamy motyw młodej dziewczyny, która zakochała się w ojcu swojego narzeczonego (jak we francuskiej komedii Papa) i wychodzi za mąż za starszego pana. Wielki współczesny francuski realista Maurice Druon w swojej trylogii Les grandes familles również wydał za mąż młodą, uwiedzioną przez żonatego młodzieńca dziewczynę za jego wujaszka. Miało to być małżeństwo „białe”, ale cóż, kiedy panna zapalała do wujaszka zmysłowym afektem, który w końcu doprowadził go do... wylewu krwi i nagłej śmierci na łożu... miłości.

I tu mamy znów tę dziwną niekonsekwencję przyrody. Kobiecie nic nie zaszkodzi ta potęga i siła żywotna, a dla mężczyzny — miłość w pewnym wieku może stać się przyczyną śmierci.

Żaden tytuł naukowy, żadna pozycja na wysokim szczeblu nie wprawia dziadka w taką radość i pychę, jak gdy młoda żona urodzi mu dziecko. Prowadzi wózek z niemowlęciem na spacer i to z większą dumą niż jego dorosły syn samochód Jaguara. Złośliwe komentarze znajomych nie zaćmiewają jego szczęścia. Wnuki z pierwszego małżeństwa będą miały wuja w ich wieku — to świetnie!

Samotna stara żona spacerująca po parku z jeszcze starszą od siebie kumą, widząc ten triumfalny pochód męża z młodą żoną i bachorem — uśmiecha się ironicznie,

ale w sercu ma ostrą strzałę. Co za niesprawiedliwość — myśli — jestem o dwadzieścia lat młodsza od niego, nie powłóczę nogami, nie mam starych piegów na rękach i brzuszku — a czy na mnie jakiś młodzieniec spojrzy? A przecież mam tytuł naukowy, własne mieszkanie, samochód... Dlaczego tak się dzieje? Czemu taki nierówny podział? I czemu my, kobiety, nie potrafimy być tak zarozumiałe, nawet absolutnie nie mając z czego, jak mężczyźni?”

NIE MARTW SIĘ TWARZĄ

To powtarzała mi zawsze moja matka, gdy byłam jeszcze młodą dziewczyną. Nasze twarze to jak gdyby tarcza radarowa specjalnie czuła, na której odbijają się wszystkie nasze troski i strapienia. Bardzo trudno tak wyćwiczyć wolę, aby się nie krzywić i myśląc o jakimś strapieniu, nie opuszczać kącików ust. Dawniej kobiety były bardzo czułe i wrażliwe i często płakały, od czego robiły się worki pod oczami.

— Pójdziemy niedługo z workami — rzekł pewien złośliwy mąż do swojej płacziwej małżonki.

— Co ty pleciesz, przecież mamy z czego żyć.

— Z workami, które masz pod oczami — odparł dowcipnie.

Na naszym „radarze” odbijają się również nie tylko zmartwienia i troski, ale i wszelkie niedomagania wewnętrzne. Nawet najlepsza kosmetyczka nie pomoże na plamy wątrobiane, które powstają z chorej wątroby, albo na podpuchnięte oczy, które powoduje niedomaganie nerek lub choroby serca. Czyli że nasz wygląd uzależniony jest w największej mierze od tego „co wewnątrz”.

Zbawiennym środkiem jest tu skrobanka. Nie, to nic z tego, co myślicie, to skrobanka z marchwi! Moja siostra poetka Maria Jasnorzewska już jako młoda panna piła przed każdym balem szklankę soku z marchwi, aby mieć piękną cerę, i wszyscy podziwiali jej twarzyczkę białą z różowym. Ponieważ wówczas sztucznych środków upiększających używały tylko „kokoty”, więc naturalne środki zastępowały tamte: woda deszczowa do mycia twarzy i włosów, rumianek, odwar z bratków na zmęczone powieki, no i... maseczki. Śmiać mi się chce, jak w dzisiejszych przepisach kosmetycznych zalecają kobietom jako rewelację maseczkę z poziomek lub z żółtka z odrobiną oliwy, jednym słowem smaczny majonezik nie do wewnątrz, ale na zewnątrz, kiedy myśmy to robiły już... czterdzieści lat temu.

W apteczkach naszych matek czy babek dużo stało tajemniczych butelek z przeróżnymi ekstraktami, jak odwar na spirytusie z liści pokrzywy, bardzo skuteczny przeciwko wypadaniu włosów, esencja cebulowa na spirytusie również znakomita na włosy, mleczek ogórkowy na wybielanie cery — no i oczywiście spirytus mrówczany przeciwko reumatyzmowi. Mimo to muszę przyznać bezstronnie, że dziewczęta nie miały takich pięknych cer, jak je miewają dzisiaj. Plagą naszych młodych lat były wszelkie „butany”, wrzodzianki, egzemy, wypryski, kaszaki, no i... wągry. „Wągier — kaszak — dwa bratanki” — mawialiśmy żartobliwie. Niedostateczne używanie wody i mydła? Nigdy w życiu. Nasze matki dbały o higienę swoich córek, a mydeł używało się najlepszych: Roget Gallet pachnące jak cała grządka fiołków lub konwalii lub nasze przefuszone znanej firmy Malinowski. A więc dlaczego?

Odpowiemy krótko: Cnota!

Wiedzieli o tym lekarze i matkom córek, które wciąż miewały różne ropiejące wrzodziki i wypryski, radzili jako najodpowiedniejszy zabieg zamążpójście.

— Wyjdzie za mąż, to jej się zaraz cera wygładzi — mawiali z obleśnym uśmiechem.

I to się zwykle sprawdzało. Czyli że perłowe cery naszych dzisiejszych dziewcząt

— to niecnota. A może niesłusznie tak wnioskujemy. Może witaminy? Chociaż owoce jadano się przez okrągły rok, a w zamożnych domach winogrona, pomarańcze, mandarynki i banany stały bywały na deser. Dziewczynki zakradały się do sadu i chrupały surowy groszek, młodą marchewkę i oczywiście rzodkiewki. Gry na świeżym powietrzu? O wiele bardziej były praktykowane przez grono młodych niż dzisiaj. Najpierw „serso”, czyli kolorowe obręcze, które się łąpało na drążek, krokiet, kręgle, potem szal tenisa dla wszystkich, młodzi, starzy, wszyscy szli na korty z raketami już od rana, rower, „konna jazda, pływanie, wiosłowanie. Młodzież uprawiała o wiele więcej sportów niż dzisiaj, kiedy przeważnie zostawia je zawodnikom.

Czyli — wracając do cery i „butonów” — sprawa hormonalna.

RECE

Wiadomo, że ręce starzeją się zwykle szybciej niż twarz.

— Na twarzy dobrze wygląda — mówią kumy swojej znajomej — ale czy widziałyście jej ręce, zmarszczki, cętki piegów, paznokcie połamane — koszmar! Ma ręce osiemdziesięcioletniej kobiety...

Dawniejsze panie bardziej dbały o ręce. Nakładały na noc irchowe stare rękawiczki, tak samo do prac w domu i ogródku. Rąk nie opalały wiedząc, że promienie słoneczne marszczą skórę i wywołują piegi, używały maści wybielających. Bez rękawiczek wychodziły na miasto chyba tylko najuboższe babcie. „Liliowe dłonie” opiewali poeci. Były modne, tak jak dzisiaj — nogi. Stanowiły warunek urody, o niejednej pannie mówiło się, że jest nieładna, ale ma za to piękne ręce.

Dzisiaj wszystkie smarkule mają przepiękne lece o długich palcach zakończonych wymanikowanymi paznokciami, a kobiety po pięćdziesiątce miewają ręce zniszczone, o wiotkiej zmarszczonej skórze. Prace zawodowe, roboty koło domu, antypatyczne i szkodliwe dla skóry mycie naczyń, czyni z tych ongiś luksusowych cacek — narzędzia robocze, o których wygląd nikt nie dba z braku czasu i... rękawiczek.

Dlaczego dziewczęta współczesne mają takie piękne delikatne dłonie, chociaż również nie noszą rękawiczek? Odpowiedź na to mamy w wypowiedzi pewnej nieżyjącej już znanej warszawskiej aktorki, która miała chyba najpiękniejsze ręce w Polsce.

— Co pani robi, żeby mieć takie piękne białe ręce? — zapytał ją ktoś.

— Nic — odparła i to była prawda.

Nasze młode pięknotki nie robią rękami nic — to znaczy nic, co by je mogło zniszczyć. Roboty domowe zwykle wykonują babcia lub mama, a one pracują głową albo studiują, lub gdy są ekspedientkami w sklepie wędliniarskim, paluszkami biorą plasterki szynki, których tłuszcz ujędrnia skórę. Układanie włosów, gdy są fryzjerkami, też nie niszczy rąk, ani stemplowanie, gdy pracują na poczcie lub w urzędach.

ŻYCIE BYŁOBY ZNOŚNE, GDYBY NIE ROZRYWKI

To nie ja wymyśliłam, tylko pewien mądry Francuz, brzmi to jak paradoks, ale niemniej jest w tym dużo prawdy. Rozrywki nie należy mylić z prawdziwą przyjemnością, ponieważ jest ona nieobowiązkowa, natomiast rozrywka jest często połączona z przymusem lub towarzyskim obowiązkiem.

Oto przykład: znajomi namawiają nas, aby pójść razem do nocnego kabaretu.

„Rozerwiesz się — powiadają — wciąż tak siedzisz w domu”. Zgadzamy się. Znajomi zamawiają stolik. Nieduża salka, szaro od dymu, trochę znajomych twarzy. Na scenie popularny aktor wygłupia się, a publiczność jeszcze bardziej oklaskując

go entuzjastycznie. Potem ukazuje się para taneczna, czarne trykoty: wygibasy, piruety, tancerz przerzuca sobie partnerkę przez głowę, ona robi „szpagat”.

Oklaski. Przymykam oczy i marzę o programach cyrkowych, o tresowanych fokach podrzucających piłkę nosem, o bohaterskich ewolucjach pod plafonem zgranej pary akrobatów, o lwach skaczących przez płonącą obręcz.

Kabaret kończy się o godzinie pierwszej, przed ósmą zaś połowa publiczności musi iść do pracy. To jednak nie koniec tak zwanej „rozrywki”. Trzeba wrócić do domu — ale jak? Taksówki przejeżdżają koło nas z pasażerami, na postoju taksówek kolejka, autobus nocny poszedł widocznie... spać, bo ani mu się śni nadjechać. Nie pozostaje nic innego, jak wracać do domu piechotą, a Warszawa w nocy to — groza. Coś tak jak las oświetlony błyskami przejeżdżających samochodów. Na ulicach pustki, co najwyżej jakiś pijak przelewa się przez jezdnię. Ale zza krzaka, czyli zza węgła może wyskoczyć chuligan. Para małżeńska, która chciała się rozerwać, dociera w końcu do domu. Mąż jest wściekły:

— Tobie dobrze mówić, bo ty nie idziesz rano do pracy, ale ja!

— Przecież to ty chciałeś!

— Jaa! Tylko dla ciebie tak się poświęciłem. I tak dalej. Kłótnia małżeńska gotowa.

Przyjęcie u znajomych — wesele lub chrzciny — to rozrywka z gatunku typowych. Stół zastawiony wszystkim tym, co najbardziej niezdrowe. Nakładają nam na talerz śledzika w occie i grzybki.

— Nie zaszkożę, bo sama je zbierałam i marynowałam — powiada pani domu. — A tu kładę pani sałatkę z krewetek.

Ojciec domu napełnia coraz to kieliszki różnymi nalewkami domowymi. Języki się rozwiązują — ramiona również. Należy zanotować fakt, że ramiona pijaków wydłużają się w miarę picia zdumiewająco, jak gdyby wychodziły całkiem z mankietów. Amator wódki sięga poprzez sąsiada po rybę marynowaną, faszzerowaną, a drugim ramieniem obejmuje przystojną panią, która siedzi o dwa krzesła dalej. Potrafi również tak wydłużyć ramię, że może szturchnąć się kieliszkiem i wypić brudzia z facetem, który siedzi naprzeciw niego.

Na drugi dzień po owej rozrywce połowę uczestników libacji boli głowa, wątroba lub nawala im serce. Niemniej przed tymi, którzy nie byli zaproszeni, chwalą się, jakie to było przyjęcie, „a wódka to, powiadam wam, lała się strumieniami”.

Do rozrywek, bez których życie byłoby znośne, należy na przykład zjazd koleżeński (po iluś tam latach). Odbywa się to w jakimś wynajętym lokalu przy kawie i ciasteczkach, a polega na wzajemnych oględzinach. Koleżanki nie widząc siebie (wciąż się przecież do lusterka nie zagląda) konstatują, jak się te inne posunęły, jak jedne posiwiały, a drugie utyły. Chude szkieleciki zazdroszczą tym grubaskom, grubaski wzdychają i zazdroszczą tamtym linii.

Panie, które się czcigodnie zestarzały — zawistnie spoglądają na te kokieteryjnie ubrane, w czerwonych sweterkach, z plejadą sztucznych złotych loczków na głowie. Wszystkie są właściwie niezadowolone, a przecież na ów zjazd przyjechały specjalnie nawet z prowincji.

Uroczyste otwarcie wystawy sztuki nowoczesnej — też należy do gatunku „rozrywek”. Jak również wieczór koncertowy Złotej Jesieni, na którym trzeba z przyzwoitości siedzieć do końca, nie rozumiejąc nie jak na przysłowiowym niemieckim kazaniu.

Natomiast przyjemności to całkiem co innego, to w pierwszym rzędzie leżenie na rozgrzanym piasku w słońcu i pływanie w Morzu Czarnym, to również morskie dalekie rejsy, to zbieranie grzybów w dobranej kompanii o świcie w wilgotnym

lesie. A przede wszystkim spacer z ukochaną ramię w ramię, oko w oko, no a potem zabieg: „usta–usta” gdzieś w jakimś niezapominajkowym rowie...

Oczywiście, że wszyscy młodzi szukają rozrywki, a ludzie starsi odpowiednich dla ich wieku przyjemności. Leciwa dama nie ma zapotrzebowania na hałas nowoczesnej orkiestry, nie pije piwka i wódeczek, nie marzy o nowoczesnych tańcach, podczas których tancerz trzyma daleko od siebie tancerkę wymachując nogami i ramionami w dzikim amoku, tańcach, wobec których tango z jej młodych lat wydaje się szczytem erotycznej perwersji. Wystarczy jej, jak chodzi o przyjemność, spacer ze swoim pieszczochem na czterech łapkach do parku podczas majowych dni i spoczynek wśród kwitnących jaśminów na pustej ławeczce.

Przyjemnością jest również położenie się wcześniej wieczorem do łóżka w świeżej pościeli i czytanie pasjonującej książki. Brydź w dobranej czwórce nie jest tym, cośmy nazwali „rozrywką”, jest prawdziwą smakowitą przyjemnością.

Nasza telewizja zdaje sobie sprawę, co to jest rozrywka, i najbardziej płytkie programy noszą tytuł „programów rozrywkowych”. Dawniej pójście do teatru można było nazwać prawdziwą przyjemnością, dziś jednak kiedy z Wesela zrobiono Pogrzeb Wyspiańskiego, a z Fausta — jak gdyby „Panzer–Faust”, uderzającą publiczność swoją udziwnioną koncepcją i zmianami, pójście do teatru można zaliczyć do owych „rozrywek, bez których życie byłoby znośne”.

Natomiast pójście do kina na taki film jak Zmierzch bogów, Noc generałów, Narkotyk, z wielkim artystą Gąbinem — oto prawdziwe niekłamane przyjemności. Ale jeszcze trzeba bardzo uważać, z kim się idzie do kina, bo jeśli nasz towarzysz czy towarzysza zacznie nam półgłosem opowiadać treść owego filmu, który widziała, powiedzmy w Paryżu lub na „Konfrontacjach”, to przyjemność zamieni się już nie w rozrywkę, ale w prawdziwe nieszczęście. Aby degustować film z całym smakiem — polecam gorąco chodzić na dobre filmy samemu.

NIEWINNE PIESZCZOTY

Kobieta, która przez swoje funkcje macierzyńskie o wiele bardziej związana jest z przyrodą niż mężczyzna, pragnie jak każde zwierzątko być pieszczona i równocześnie czuje nieodpartą chęć głaskania i przytulania kogoś do siebie nie erotycznie. Ta nieodparta chęć tkwi w jej czubkach palców i nie ma spokoju, póki synkowi nie przejedzie dłonią po czuprynie lub nie przycisnie czule do piersi krzyczącego smarkacza. Mężczyźni wcale tego nie rozumieją i przytulenie się żony do niego w momencie zasypiania lub głaskanie jego ramienia biorą za inwit do... powiedzmy po staropolsku: obłapki. Żona nie zawsze chętnie ulega owym znanym jej już dobrze i zawsze dla kobiety ryzykownym chęciom, ponieważ ona pragnęła tylko niewinnych pieszczot. Powinna jednak wiedzieć, że do tego rodzaju delikatnych spraw mężczyzna całkiem się nie nadaje i wcale ich nie rozumie. Owszem, gładzi kobietę i przyciska do siebie, ale to czynią również i samce ze świata zwierzęcego i mało który z nich wskakuje na samicę w wiadomych celach bez uprzednich wstępnych pieszczot.

Ale zwierzęta poza tym uznają również i pieszczoty niewinne — bezcelowe. Delfiny, trzymane w specjalnych basenach przez naukowych badaczy, pod wpływają pod tratwę z ekipą eksperymentatorów i gdy ktoś z tej ekipy włoży rękę do wody, one wsuwają pod ową dłoń łeb zachęcając do pieszczot. Każdy kot mruczy z zadowolenia, gdy go jego właścicielka weźmie na kolana i głaszcze. Czarne pudelki obejmują swoją panią obiema łapkami i z zapałem, liżą ją w szyję. Jej przyjaciółka, która nie ma w domu psa, a której mąż nie uznaje żadnego bezinteresownego głaskania, widząc to powiada z głębokim żalem:

— Jakaś ty szczęśliwa, co ja bym dała za to, aby mnie ktoś tak delikatnie i

słodko pieścił.

Każde zwierzę można oswoić i korzystać z jego czułości — z wyjątkiem... ryb i... królików. Hodowałam kiedyś te głupie białe zające z czerwonymi ślepiami i mimo iż sama im przynosiłam co dzień kapustę i marchew, uciekały w panice na mój widok i tupiąc łapkami wpadały jedne przez drugie do swojej budki. Co innego wiewiórka. Ukochana nasza wiewiórka spała z moją siostrą trzymając łepkę na tym samym jaśku co ona i czasem gdy się obudziła, całowała delikatnie swoją panią w policzek mrucząc ze szczęścia. Pewna znajoma dziewczynka miała za przyjaciela dużego czarnego kruka. Kruk stale siedział na jej ramieniu, a czasem swój ostry długi dziób wkładał jej do ust, co dziewczynka uważała za szczyt oddania i przyjaźni z jego strony.

Wzruszająca w miłości zwierząt do ludzi jest nieraz zupełna bezinteresowność. Najedzony rybą delfin podpływa do ludzi, aby być pieszczonym i głaskanym, a puszczony na pełne morze, czego dowiódł odpowiedni eksperyment, powraca do basenu, aby być z ludźmi. Pies syty, z pełnym brzuszkiem, kładzie swojej pani czy panu łeb na kolanach i spogląda mu miłośniczo w oczy. Oswojona sarenka podbija łebkiem dłoń człowieka zachęcając go do pieszczot. Już nie mówiąc o kaniach, które od wieków żyły z człowiekiem w ścisłej symbiozie. W tym miejscu przytoczę zdanie z pięknego wiersza Marii Jasnorskiej pod tytułem Białe koźmi w Rabat, gdzie poetka zwraca się do Boga w słowach: „Stwórco! — patrząc na formę tak piękną, tak czystą już cię wielbię, gorący artysto, już kwituję z naszych rozrachunków..” Toteż miłośników koni napełnia odrazą widok końskich jatek. To coś jak gdyby się jadło kawałkami mięso najlepszego przyjaciela...

Piękne w Starym Testamencie jest owo pojęcie raj, gdzie pierwsi ludzie żyli za pan brat z najdzikszyimi zwierzętami, a Ewa prawdopodobnie, trzymając na kolanach łebek młodego tygrysa, iskała go z czułością matki. A w ogóle nie wiadomo na pewno, czy Bóg wygnał Adama i Ewę z raj, jedynie za zerwanie owocu z Drzewa Wiadomości Złego i Dobrego. A może... może Ewa po spożyciu owego owocu stała się nagle chytrą przebiegłą babą, pragnącą stroić się i nakłoniła Adama, aby udusił węży, który ją namówił do grzechu, i z jego mieniającej, tęczowej skóry wykroił dla niej piękne sandały, a wówczas Stwórca nie wytrzymał i ryknął przez megafon:

— Wynocha! Zgrzeszyliście nieposłuszeństwem, ponieważ nie tylko zerwaliście zakazany owoc, ale popełniliście pierwszą zbrodnię w raj. Odtąd powrót tutaj jest wami surowo zakazany!

Konkluzja: Gdy któraś z nas czuje neodpartą potrzebę bezinteresownych pieszczot, niech nie zwraca się z tym pragnieniem ani do męża, ani do synka, niech weźmie do domu psa. Kłopot — powiadają. Trudno, za każde szczęście trzeba płacić. Ale za to jaka radość, gdy pani wraca do domu. To radosne ujadanie, wskakiwanie na kolana, lizanie po twarzy. Wprost nadmiar czułości. I ten niespotykany u ludzi brak krytycyzmu. Czy pies da nam kiedykolwiek odczuć, że brzydko wyglądamy, żeśmy się zestarzały? Albo gdy mamy grypę i kaszel nas rozdziera — czy uważa, iż nie należy wlażyć nam do łóżka, „bo można by się zarazić”?

Ta nieustająca czułość kompensuje nam po części oziębłość męża lub zubożenie kochanka. Dzisiaj, kiedy ludzie zawiedli się na ludziach i kiedy na najbliższych przyjaciół nie można liczyć, a dzieci dla zdobycia wolnego pokoju w mieszkaniach wspólnych oddają starych rodziców do domu starców — pies stał się tak kochany i popularny jak w Anglii, czego u nas przed wojną nie było. Ludzie nawet poświęcają się dla ukochanego pieszczocha i wiele jest małżeństw, które nie mogą

razem wyjeżdżać na urlopy, „ponieważ pies nie miałby z kim pozostać”.

Wzruszające są ogłoszenia, które nieraz czytamy w pismach codziennych: „Zginął piesek nierasowy z czarnymi uszkami, w leczeniu. Zwie się Bobek. Zginęła suczka mieszaniec, szczenka. Za przyprowadzenie jej wysoka nagroda”. Przedwojenne dowcipy w rodzaju: „Zginął piesek czarny, podpalamy, z zakręconym ogonkiem, do którego przywiązana była starsza pani” — nie bawią dziś nikogo. Psa traktuje się bardzo serio i nagła katastrofa, jak przejechanie na śmierć ukochanego psiaka przez nieostrożnego kierowcę, przyprawia właścicieli o czarną rozpacz i żalobę serca.

— Takiego pieska jak Koleś nie będziemy mieć już nigdy, co to był za mądry pies — mówią ze łzami w oczach.

— Och, żebyś ty jeszcze pożyczył pieniądze — rzekła pewna właścicielka do czarnego pudła, burząc mu nad czołem grzywkę — to szczęście z posiadania takiego pieska jak ty byłoby bez granic...

GRYMAŚNICA

Tak przeżywał mnie i siostrę nasz ojciec, gdyśmy byli młodymi rozkapryszonymi dziewczętami. Taką „grymaśnicą” jest nasza wątroba. Zdrowy człowiek nie podejrzewa, iż posiada w swoim organizmie coś tak wrażliwego i grymaśnego, jak ów delikatny narząd.

Mężczyźni zalewają bezkarnie ową delikatniśnię alkoholem i potem się dziwią, że ich „coś boli” i brzuch im się powiększył.

— Popatrz — powiada z żalonym wzruszeniem pierwiastki mąż do żony — jaki mam duży brzuch. Ciekaw jestem, od czego?

Gdy się raz podrażni grymaśnicę, to bardzo trudno ją potem uspokoić. Mówi jak niegrzeczny chłopczyk z bajeczki Jachowicza: „to złe — to niedobre, to mnie. kłuje w zęby — tego nie wezmę do gęby... itd. Można rzec „Kaprysy Marianny” zaczynają się zwykle po świętach Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, podczas, których, jak wiadomo, Polacy piją i jedzą w nadmiarze.

Często nie jest to sprawa odżywiania, ale zmartwień, na które grymaśnicą reaguje bardzo wyraźnie. Człowiek nie tyle martwi się sercem, co właśnie wątrobą.

Zresztą ludzie wiedzą o tym i mawiają: „wątroba mu ze zmartwienia spuchła”. Z wątrobą idzie często w parze trzustka, tajemniczy dla laików organ, który odgrywa w naszym organizmie ważną rolę, no i woreczek żółciowy, który potrafi produkować kamienie nieszlachetne, za to szalenie bolesne.

Podrażniona grymaśnica może również spowodować żółtaczkę. Aby ją uspokoić, należy jeść tylko to, co nam nie smakuje, bo wszystko co dobre odrzuca. Musimy więc na długo lub nawet na zawsze pożegnać się z naszą narodową plantą — kapustą, musimy przestać marzyć o schaboszczaku przyrumienionym na świeżym szmalcu, z apetycznymi frytkami. Ulubione nasze narodowe zupy, zaprawione śmietaną, powinny iść do lamusa wspomnień. Kawa bezwzględnie szkodzi jej i po wypiciu dużej filiżanki zaczyna dręczyć nas bólami. Na czekoladę nie chce nawet spojrzeć. Co do alkoholu to nasza grymaśnica ma takie dni, kiedy nie wykrzywia się na kieliszek koniaku i nawet nic się nie odzywa, gdy jej podać kieliszek wytrawnego wina. A znowu kiedy indziej złości się i burzy, gdy jej się ‘dać napić kieliszek mocnej domowej nalewki. Bardziej jeszcze od alkoholu nie lubi i silnie reaguje na małżeńskie intymne dialogi w rodzaju:

Mąż: — Powiedz, moja droga, skąd my weźmiemy na życie do końca miesiąca?

Żona: — Wyciągniemy z książeczki.

Mąż: — Samochodowej? Wolę nie jeść. A jeszcze nie zapłaciliśmy raty za tapczan.

Żona (łapiąc się nagle za prawy bok): — Ani za mieszkanie...

Mąż (grobowym głosem): — Telefon w tym miesiącu nie zapłacony...

Żona: — Już nic nie mów... rozboleła mnie ni stąd ni zowąd wątroba. Idę się położyć.

Życie z naszą wewnętrzną histeryczką jest po trochu złamane, szczególnie dla smakoszy. Bo i cóż to za życie, gdy się widzi na talerzu tylko biały ser (ten baranek boży, który gładzi grzechy obżartuchów), różany gaj plasterków szynki lub kawałek kury w potrawce w bladym otoczeniu gotowanego ryżu (bo ten smaczny, „dmuchany”, który się chętnie chrupie całymi garściami, drażni wątrobę i robi wzdęcia).

Ponieważ jest to organ tajemniczy i zupełnie nieobliczalny, więc ku naszemu zdziwieniu zaczyna się doskonale czuć i nie grymasi, gdy go wywieziemy do Bułgarii lub Rumunii, gdzie raptem papryka, cebula, salami oraz ostre przyprawy wcale mu nie szkodzą. Pozwala nawet swojemu właścicielowi jeść surowe owoce. Ale znowu z drugiej strony powiada, że mocne południowe słońce szkodzi i że należy tyłem obrócić się do słońca, ponieważ to nerki lubią nasłonecznianie się, a nie wątroba. Typowa histeryczką, bo jak można słońca nie znosić, tego źródła życia i najwspanialszego salonu kosmetycznego.

Dla osób, które bardzo niskie ciśnienie ratowały dwiema lub trzema filiżankami kawy — niechęć wątroby do kawy jest istną klęską, ale wiem z doświadczenia, że można ją oszukać, i gdy się do kawy doleje mleka, ona myśli, że to tak zwana „bawarka”, i wcale nie reaguje.

A co ta wariatka lubi? Lubi słodycze z wyjątkiem czekolady, ciastka, ale bez kremu, no i przede wszystkim prasowane figi, o czym nie wszyscy wątrobiarze wiedzą.

Gdy się zlekceważy objawy podrażnienia wątroby, a bóle uśmierza się proszkami, złośliwa grymaśnica rodzi straszego potworka, który zwie się alergią lub uczuleniem. Po jakichś silnych niepowodzeniach życiowych lub po zbyt sutej libacji budzimy się rano obsypani bąblami, które swędzą w niemiłosierny sposób. Ktoś, kogo pierwszy raz w życiu coś podobnego spotkało, sądzi, że to jakiś złośliwy liszaj, i jest przerażony i zaskoczony. Nie wie, co robić, smaruje wysypkę kremami, wchodzi do gorącej kąpieli, zrobiłby wszystko możliwe, aby go to przestało swędzieć.

Biblijny Hiob, który obsypany wrzodami spędził życie jakoby na kupie gnoju, to typowy alergik, który próbował już wszystkiego, aby tę straszną dolegliwość uśmierzyć. Nie wiedział biedny, że pastylki wapna lub w gorszym wypadku zastrzyki mogą bezwzględnie pomóc. Dzisiaj nieszczęśliwy męczennik otrzymałby oprócz wapna znakomity polski Allergan S i oczywiście dietę taką jak przy dolegliwościach wątroby, a więc: żadnych kremów i śmietany, broń Boże — alkoholu i żadnych surowizn. Kto nigdy nie miał uczulenia, nie wie, co to za koszmarna dolegliwość. Gdybyż to tylko były swędzące bąble, ale złośliwy potwór rzuca się na oczy, na usta. Raptem przy jedzeniu w towarzystwie jedno oko puchnie i jak gdyby chciało spaść do talerza, najgorzej jest z wargami, alergik czuje nagle, że go wargi swędzą. Już wie biedny, co to oznacza. Oznacza to, że po chwili górna warga puchnie i człowiek zaczyna wyglądać jak członek pewnego prymitywnego plemienia, który dla urody wkłada sobie pod górną wargę drewniany drążek, aby usta upodobnić do kaczego dzioba, czyli po prostu jak Kaczor Donald.

Lekarze alergicy szukają przyczyn owej strasznej, choć niegroźnej dla życia choroby. Robią testy, badają, wynajdują, że jednemu szkodzi domowy... kot, drugiemu pierze z kóldry, nylon, stylon, no i przede wszystkim wełna. Pewna żona dostawała swędzącej wysypki po każdym stosunku z mężem, tak że musiała się z nim

rozwieść.

Jako długoletni alergik–praktyk wiem, że to wszystko nie to — i że źródła uczulenia tkwią przede wszystkim w dokuczliwości podrażnionej grymaśnicy o wiele wrażliwszy i bardziej złośliwy...

WAMPIRY SĄ WŚRÓD NAS

Przed wszystkim nie każdy wie, co oznacza słowo „wampir”, tym bardziej że nie był wyświetlany u nas słynny za granicą film Polańskiego pod tytułem: Bal wampirów, gdzie straszliwi nieboszczycy wyłażą nocą ze swoich trumien i wgryzają się w szyje ludzi żywych karmiąc się ich krwią.

W naszych wierzeniach ludowych wampir zwał się upiorem i zachowywał się podobnie jak wampir. W latach dwudziestych powstała nazwa „wamp” (skrót od wampira), którą nadawano kobietom pięknym i demonicznym, niszczącym fizycznie i moralnie swoich adoratorów. Prototypem wampa była piękna i popularna aktorka filmowa Mae West, która pierwsza lansowała modę na kobiety o bujnych kształtach. Wampy doprowadzały mężczyzn do samobójstw lub do kompletnej ruiny finansowej, same przy tym czując się coraz lepiej i zdrowiej. W tym miejscu przypomniała mi się anegdota z moich dzieciennych czasów o właścicielu wędrownego cyrku Czechu, który popisy z wężem boa reklamował w ten sposób:

— ”Tu sem boa konstriktor, inaczej konduktor — syczy, syczy, póki wszystko nie wysyczy” (czyli ssie, ssie, póki wszystkiego nie wysysie).

Wampiry również ssają, póki wszystkich sił witalnych z nas nie wysysają. Mamy ich wśród nas. Czym odznacza się taki wampirek? Przede wszystkim tym, że gada bez przerwy byle co, nie dając nam przyjść do słowa. Gdy ofiara znękana i wyczerpana pragnie wydostać się z jego orbity, przytrzymuje go z całą siłą i każe mu swojej gadaniny wysłuchać do końca. Czy nie zdarzyło wam się nagle zasłabnąć w towarzystwie osobnika, który wszystkich zajmuje sobą opowiadając anegdotki „z taaką brodą”, z których sam rechocze tubalnie wymagając od otoczenia, aby się również śmiali? Pamiętam z moich panieńskich czasów, jak nasza matka, osoba krzepka i w sile wieku, zemdląła kiedyś na balu, siedząc wraz z innymi matronami wokoło tanecznego parkietu.

— Nie wiem, co mi się stało — opowiadała nam, gdy przyszła do przytomności — siedziałam koło tej starej Hreczkosiejskiej, która gadała bez przerwy, i nagle zrobiło mi się słabo, ciemno przed oczami i osunęłam się z fotela na ziemię...

Od pozostałych na balu gości dowiedzieliśmy się, że babozwierzowampir, obzarlony się odpowiednio różnymi smakołykami, zatańczył z jakimś jegomościem białego mazura o świcie! Typowy objaw wampiryzmu.

Wampiry często zadają pytania, na które nie mamy ochoty odpowiedzieć, w rodzaju: „Gdzie leży tatuś?” „Na co umarła mamusia?” „Dlaczego się pani przeniosła do Warszawy?” „Czy pani pierwszy mąż żyje?” i najgłupsze ze wszystkich pytań, jak chodzi o pisarza starszego pokolenia, ale jeszcze normalnie funkcjonującego: „Czy pan (pani) jeszcze pisze?”

Gdyby człowiek miał odwagę cywilną, toby wykrzyknął:

— A odpieprz się pan do jasnej cholery z podobnymi pytaniami, nie tylko że jeszcze piszę, ale pana opiszę tak dokładnie, że rodzona matka pana natychmiast pozna!

Ale ponieważ brakuje nam tej odwagi, więc odpowiadamy niechętnie, coraz słabszym głosem, na co Wampir znów zaczyna się nas wypytywać, co nam jest.

— Tak pani nagle pobladła i to nerwowe ziewanie, znam to, osłabienie serca, proszę wziąć długopis, notesik, podani pani świetne lekarstwo na krążenie.

Wampiryzm, czyli wysysanie sił żywotnych ze swoich bliźnich, najlepiej

zaobserwować wśród małżeńskich par. Oto spotykamy w towarzystwie młodą kobietę, która przed zamążpójściem była kwitnąca i zdrowa, a teraz widzimy ją nagle wychudzoną, mizerną i bladą.

— Co pani jest — wypytyują się troskliwi ciekawscy — tak pani schudła. Czy pani coś dolega?

— Nee, nic mi nie jest. Wiosna — odpowiada z nikłym uśmiechem.

Obok niej kroczy mąż — byczek, którego mięśnie wydymają rękawy i spodnie.

— Za to pan świetnie wygląda — konstatają znajomi.

— No tak — rechocze wampir — to, co żonie ubywa — to mnie przybywa. Nic w naturze nie ginie.

Często bywa i przeciwnie: żona, młoda witaminowa dziewczyna, ciągnie za sobą męża, wysuszonego jak pikling, którego tak niedawno znaleźliśmy jako normalnego samca. Kolorowy balonik, z którego ktoś wypuścił powietrze. Żona wzięła nad nim górę, nie dając mu przyjść do głosu, i machając ręką odgania jego słowa jak natrętne owady.

— Zostaw, ja opowiem, ty zgubisz pointę.

Wyczuwa się, że on według niej nie ma nic... do powiedzenia w towarzystwie, ale również nic do gadania w domu. Żona, tęga pajęczycyca, rządzi, decyduje, lecz swoimi sposobami piklinga, a w nocy przytulając się do niego szczelnie wysysa we śnie jego siły żywotne.

Mądrzy lekarze zwykle w takiej sytuacji zalecają „zmianę otoczenia”, czyli... żony. Gdy mu się uda wyjechać samemu na urlop, wraca odrodzony, rumiany, zdrowy. Wampiry dzielą się na gadułów dowcipnisiów, którzy swoimi kawałami zamęczają otoczenie, i na ponuraków stawiających najgorsze prognozy na przyszłość, jak również robiących żonie wymówki o byle co.

— Tyle razy mówiłem, aby nie stawiać lampy tu, tylko tam, może spaść... Tyle razy mówiłem, aby mydło kłaść na swoim miejscu... Dlaczego moje nożyczki nie leżą tutaj?

Wampir–nudziarz wierzy jeszcze w jakieś „swoje miejsce” przedmiotów i tym wiecznym gładzeniem szykuje zawczasu znękaną żonę „swoje miejsce” na cmentarzu, bodaj jedyne miejsce, z którego ciała martwe nie mogą się ruszać i przenosić...

Przed zawarciem związku małżeńskiego należy być niesłuchającym, aby nie wpaść w sidła wampira. Gdy w jego towarzystwie ogarnia nas nerwowe ziewanie, gdy się przy nim zasypia w kinie (oczywiście po wysłuchaniu przez niego szeptem opowiedzianej treści całego filmu), gdy zaczynają nas prześladować silne bóle głowy, których się dawniej nie miało — należy bezwarunkowo zrezygnować z tego mariażu. Nie zapominajmy, że wampiry są wśród nas!

NIE ZABIJAJMY DZIECKA W SOBIE

Świeżo urodzone kociątko już po kilku dniach robi się podobne do kota, szczeniak do psa, tygrysiątko do tygrysa — tylko drób przechodzi tak wielką ewolucję, że trudno byłoby komuś, kto przyfrunął z Marsa, uwierzyć, że z rozkosznego, puszystego żółciutkiego pisklęcia wyrośnie po kilku miesiącach duża gdacząca przekupa, kura, lub kroczący dumnie kogut niby rycerz z ostrogami, w szyszaku na głowie.

Podobnie dzieje się z ludźmi i nie ma nic bardziej żenującego, jak gdy stary łysy jegomość pokazuje nam zdjęcie, na którym figuruje on jako małe bambino. Próżno staramy się w owym gołym amorku, spoczywającym na białej niedźwiedziej skórze, dopatrzeć podobieństwa z tym starym jegomościem. Zupełnie inny gatunek zwierzęcia. Stara pani o twarzy nadgryzionej zębem czasu lubi opowiadać o swoim

dzieciństwie: „Gdy byłam czteroletnią dziewczynką...” Próżno nasza imaginacja pracuje, aby ją sobie wyobrazić jako śliczną dziewczyneczkę biegnącą za drewnianą obręczą lub skaczącą przez skakankę.

Jakiego koloru miała włosy? Jakie oczy? Nie sposób skojarzyć jej z ową godną siwą damą, którą jest obecnie. Nie należy więc w późnym wieku opowiadać o sobie jako o młodej ślicznej dziewczynce, ale należy coś niecoś z niej zachować w swoim usposobieniu, co nam rozjaśni życie i sprowadzi pogodne myśli. :

Potrafiają to narody zachodnie, a przede wszystkim Amerykanie i Anglicy, którzy bywają nieraz tak zachwycająco dziecinni, że nas, poważnych Europejczyków, to zdumiewa. Zwróćmy uwagę na ich kolorowe pocztówki ze świątecznymi życzeniami. Cóż za rozkoszne szmiry, nabijane świecącymi opiłkami, często rozkładane, z wysuwającymi się elementami świątecznymi. Co jeszcze zabawniejsze, że Anglicy, zdążyłam to zauważyć będąc w Anglii, bardzo cenią owe dowody pamięci swoich bliskich i wszystkie owe błyszczące, kolorowe Christmas wishes stawiają w formie wachlarzyka na kominku. Im więcej stoi takich życzeń, tym pani domu jest dumniejsza, że tak o niej wszyscy pamiętają.

Dzieci, jak wiadomo, też przybijają sobie do maty nad łóżkiem różne kolorowe pocztówki. Widziałam też w sklepie samochodowym pięknego niebieskiego Austina przewiązanego „w pasie” niebieską szarfą z napisem Merry Christmas. Zachwycająca zabawka pod drzewko dla starszych dzieci.

Pewien angielski dyplomata, człowiek inteligentny i obyty, zaprowadził mnie do dzieciennego pokoju swojego synka i zaczął demonstrować akrobatyczne ewolucje pajaca, którego ciągnęło się za sznurki. Wprawiwszy w ruch pajaca, sam — splakał się ze śmiechu. Chciałam mu przez grzeczność zawtórować gromkim śmiechem, ale mi to nie wyszło. Życie zabiło we mnie małego szczeniaka, którego takie rzeczy bawią.

Będąc w teatrze na jakiejś wesołej komedii, nie mogłam wyjść ze zdumienia, jak ci na pozór zimni i flegmatyczni Anglicy potrafią ryczeć ze śmiechu. Nikt ze sąsiadów nie syknął za ich plecami, jak by to miało miejsce u nas — „proszę się tak głośno nie śmiać — przeszkadza pan innym...” Wszyscy, cała ta zresztą elegancka zamożna publiczność (bilety do teatru są tam bardzo drogie), kwiczeli, kiwali się ze śmiechu w przód i w tył, pokładali się na swoich sąsiadach. U nas w kinie można usłyszeć śmiech, i to wyłącznie młodzieży, na mrozących krew w żyłach krwawych dramatach lub jeszcze częściej — na dawnych filmach sentymentalnych, na których dziecinni Anglicy na pewno cichaczem ronią łezki. W naszym kraju rzadko można spotkać kogoś, kto by nie zabił dziecka w sobie.

Szczególniej mężczyźni są poważni, zaabsorbowani swoimi sprawami, budząc się i zasypiając myślą wyłącznie o tym, w jaki sposób powiększyć swoje dochody i co będą robić, jak wejdą w wiek emerytalny. Rzadko kiedy żyją chwilą, tak jak to czynią dzieci, chyba jak pójdą z kumplami na kolacyjkę do barku.

Dzieci, aby być szczęśliwe, aby bawić się, gonić, chować przed innymi dziećmi za drzewami i po kątach, nie potrzebują jakichś sztucznych podniet. Cieszą się samym życiem, tym, że mogą biegać, pokrzykiwać, dokazywać. Dla starych dzieci, jakimi są Anglicy, wynaleziono sporty.

Czy leciwy džentelmen chodzący kilometrami po łące z kijem od golfa.— zajęty wyłącznie tym, czy piłeczka uderzona tak zwanym „clubem” wpadnie do dołka czy nie — ma głowę do myślenia o własnych kłopotach, których na pewno mu nie brak? Dawniej w Polsce sport — czyli zabawa dla każdego wieku — nie był wyłącznie przeznaczony dla młodzieży. Starsi ludzie grali godzinami w tenisa, jeździli konno, uganiali na rowerach, do późnego wieku jeździli na nartach, pływali po

morzu. Dzisiaj wstydzą się, nie chcą być śmieszni w oczach własnych dzieci, które mogłyby się z nich nabijać.

A przecież najlepszą i na j racjonalniejszą gerioterapią byłby ruch na świeżym powietrzu i niemyślenie o tym, że niezadługo mogą się skończyć — ich ziemskie wczasy. Nigdy też w dawnych epokach nie widziało się tylu niedołączonych staruszków i starych połamanych kobiet, co obecnie, w dobie wielkiej troski i opieki nad ludźmi starymi.

Literaci mają pod Warszawą Dom Pracy Twórczej. Zjeżdżają tam przeważnie ludzie starsi. Spacerują po parku albo po okolicznych leśnych ścieżkach i to są jedyne chwile, kiedy zażywają ruchu po długich godzinach siedzenia nad nowym dziełem. Wieczorami znów siedzą przy kartach lub oglądają telewizję. Gdy pewna starsza dama dosiadła kiedyś cudzego roweru i zaczęła sprawnie jeździć wkoło gazonu, jej koledzy i koleżanki zbiegli się na tarasie, aby oglądać to niezwykle widowisko i komentować je po swojemu:

— Ona się zupełnie ośmiesza — mruknęła pewna leciwa pisarka — chce udawać młodą...

Jakże by tym zgarbionym człapiącym ludziom przydał się kort tenisowy, który dawniej zakładano przy każdym pensjonacie, a korzystali z niego wszyscy niezależnie od wieku. Przez jakiś czas w owym Domu Twórczym istniał stół ping-pongowy i wtedy okazało się nagle, że prawie wszyscy potrafią biegać zaabsorbowani odbijaniem piłeczki i... że zapomnieli o swoim wieku. Tę niewinną grę, podczas której wszystkie członki są w ruchu i która stanowi świetne „ćwiczenia wyrównawcze” — skasowano, ponieważ stukot piłeczek przeszkadzał tym wszystkim, którzy dawno pogrzebali dziecko w sobie...

Są jednak epoki, kiedy poważni ojcowie i zapracowane matki odnajdują je nagle w sobie. Jest to okres świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Poważni naukowcy „ubierają drzewko” nawet wówczas, kiedy ich dzieci dawno podorastały, ponieważ „drzewko musi być”. Odpowiednio wyposażony stół wielkanocny również. Nawet czasem sam pan domu kupuje baranka z cukru i tradycyjny hiacynt w doniczce. Byłby bardzo zawiedziony, gdyby na stole nie było kolorowych jajek i kilku mazurków, nawet przypomina żonie, aby święcone zanieść do najbliższego kościoła do święcenia, co jak wiadomo zawsze najbardziej cieszyło i bawiło dzieci.

Starsi, jak już wspomniałam, pogrzebali dziecko w sobie, dzieci zaś pragną być jak najszybciej „młodzieżą”. Ze smutkiem i lękiem spoglądamy na nastolatków, którym nawet do głowy nie przyjdzie bawić się jak dawniej w ciuciubabkę, w talarka, w sekretarza, w pocztę i w „ojca Wirgiliusza”, ale którzy z kamiennymi twarzami, bez uśmiechu, zasiadają do sportowego brydżyka i otoczeni kłębam dymu z papierosów, potrafią tak siedzieć godzinami.

Bałtyk, jak to łatwo można zauważyć w naszych miejscowościach nadmorskich — leży odłogiem. Młodziaki nie pływają, nie jeżdżą na kajakach, nie uczą się żeglarki. Siedzą w kawiarence na plaży wraz ze swoimi Ewami, których jedynymi strojem są przeważnie ich długie włosy, piją piwko, niezliczone ilości butelek stoją zwykle na ich stolikach, i gdyby nie psy, ich pieszczochy, które jak hipnozyter spoglądają im w oczy, zachęcając do zabawy i gonienia na plaży, nie ruszyliby się z miejsca.

Mam jedną bliską znajomą — widuję ją co dzień — która hoduje dziecko w sobie, a w każdym razie nie wstydzi się tego. Jest w moim wieku i posiada przeróżne dolegliwości. Cechuje ją jednak zawsze dobry humor i radość z byle czego. Często zapomina, kim jest, i biegnie po schodach przeskakując po dwa stopnie. Staje na którymś piętrze zdyszana, z wałącym jak młot sercem. Potrafi też, gdy się rozłości, tupać jak niegrzeczne dziecko nogą w podłogę. Widziałam kiedyś na

ulicy, jak pędem biegła do autobusu. Kupiła sobie w kiosku ruchu uroczego pingwina.

— Na co ci to — zapytałam — przecież nie masz dzieci?

— Właśnie dlatego, dzieci by mi go zepsuły. Czy wiesz, że on piszczy, gdy mu brzusek nacisnąć? Jeszcze kupię upatrzoną lalkę w stroju pielęgniarki, powiadam ci — jedna rozkosz, ma niebieski fartuszek i biały czepeczek, będzie mi przypominała, że mam koniecznie brać zastrzyki przepisane mi przez lekarza. Mąż i znajomi nabijają się z niej.

— Ona chyba nigdy nie dorośnie, takie stare dziecko — mówiąc z ubolewaniem. Niech nie dorasta: wiek męski — wiek klęski, a wiek starczy — duszę marszczy. Jest mądra i wie o tym. Należy jej tylko pozazdrościć...

SZCZĘŚCIE NIEJEDNO MA OBLICZE

Pojecie szczęścia zmienia się z upływem lat. Nie będziemy mówić o szczęściu posiadania fortuny: pieniądze to opłata za pobyt na ziemi z całodziennym utrzymaniem. Dla pracowitych i zawziętych lub dla sprytnych i bez skrupułów — pobyt luksusowy. Dla innych bardzo skromny, ale zawsze trzeba płacić, aby żyć. Szczęście dawniej, gdy się było młodym, inne miało oblicze, miało oblicze kochającego mężczyzny. Czulego partnera, który zawsze coś przynosił, to kwiatki, cukierki, to... paczkę gwoździ („bo u ciebie to nigdy nie ma gwoździków do przybicia czegoś do ściany”), to zerwana gałąź z liśćmi kasztanów w pękach („bo ty to tak lubisz”).

W późniejszym wieku szczęście miewa buziaczek adorowanego przez babcię wnuczka albo spiczastą mordkę psa jamnika, brązowego i tłustego jak serdelek, miewa też czasem czarny pyszczek kotka syjamskiego. Dla pań domu, pracujących na polu naukowym lub literackim, dla lekarek, redaktorek, pisarek szczęście to gospoia. Moje szczęście ma dużą, nalaną twarz sześćdziesięcioletniej kobiety, która przychodzi co dzień rano i wyręcza mnie we wszystkich zajęciach domowych. Jest uczciwa, solidna i potrafi gotować. A to, że nie lubi froterować posadzek i twierdzi, że ją od tego krzyże bołą, to jej się wcale nie dziwię — mnie by też rozbolewały. Grunt, że wychodzi z pieskiem na spacer, potem idzie po zakupy, zmywa naczynia i gotuje obiad, bo gdy ja coś ugotuję, mąż kosztuje i natychmiast idzie pluć do łazienki.

Witam ją więc radośnie, jak dawniej swojego amanta.

— Niech pani usiądzie, zaraz zaparzę dobrej mocnej kawy, tu jest ciasto z rodzynkami. A może coś z wędliny?

Aby jej nie okazać pewnej różnicy, która między nami istnieje, staram się używać jej mowy, o dzieciach mówię więc „oni”, o psach również („U nas przed wojną było w domu trzech psów”). Staram się, tak jak ona, aby pomarańcze były rodzaju męskiego, mówię więc: „Niech pani weźmie do kompotu tego pomarańcza”. Nie mówię: „To mi się podoba”, tylko: „To mi się podoba”.

Ryjemy zgodnie i w zupełnej harmonii. Ale kiedyś nadszedł taki ponury siwy ranek, kiedy szczęście nie przyszło wcale. Z przyjacielem też tak dawniej bywało, nie przyszedł i nawet nie zatelefonował. Szczęście nie liczy się ze swoim klientem.

Po tygodniu tęsknoty i domowej udręki gospoia zjawia się wreszcie.

Postanawiam dyplomatycznie nie okazywać za wielkiej radości z tego powodu.

— No cóż się z panią działo, pani Geniu? Byłam już niespokojna...

— Ano chora byłam. Sparło mnie. Kolek dostałam i nie mogłam się ruszyć.

— Pewnie pani coś niezdrowego zjadła?

— Eee, gdzie tam, kilo kiełbasy i gołąbki.

— To pewnie te gołąbki. Ale mogła pani do mnie zatelefonować, dać znać, że nie przyjdzie.

— Ciekawam skąd? W domu telefonu nie mam, a do budki daleko.

Nakładam na siebie twardy pancerz, który całkiem do mnie nie pasuje:

— Ale gdyby pani pracowała na jakiejś państwowej posiadzie, toby pani musiała wytłumaczyć taką długą nieobecność w pracy, przynieść zaświadczenie od lekarza...

— A czy ja muszę u pani pracować? Za starszymi gosposiami to ludzie się rozbijają. Mam takiego pana profesora, który mnie gwałtem ciągnie do siebie. A jakie on ma chodniki, kryształ, a ile ubrań w szafie. Zamożny gość, a drób to jada co dzień...

— Pewnie jest na diecie, pani Geniu.

— Ee—tam... tylko na wszystko go stać (mały przytyk do mnie, że minie nie stać na wszystko). — Mogę zawsze przestać u pani pracować i wziąć gospodę u niego... Mnie tam nie zależy...

O Boże! Moje osiemdziesięciokilowe szczęście chciałoby mnie opuścić. Koszmar.

— Ale pani Geniu, pani nie może mnie porzucić, co ja bym bez pani robiła?

Podobał się pani ten mój fioletowy sweter. Na mnie jest za obszerny, proszę go sobie wziąć. Będzie w nim pani bardzo do twarzy... Zaraz zaparzę dobrej mocnej kawy i mogę skoczyć po świeże bułeczki, a pani przez ten czas pójdzie z pieskiem na spacer...

Boję się jednak, aby nie przyszła taka groźna chwila, kiedy moje szczęście zerwie ze mną. Znajdzie sobie samotnego zamożnego pana bez pieska, za to z szafą pełną ubrań i nowym chodnikiem. Boże mój, i znowu trzeba szukać, dowiadywać się od znajomych, czy nie znają dobrej uczciwej pomocy domowej w starszym wieku. Z młodymi gosposiami skończyłam raz na zawsze. Miałam przez kilka miesięcy takiego młodego kota z dużym czarnym czubem i niebieskimi powiekami. Kot nie umiał wcale gotować, za to umiał łasować. Nazywaliśmy ją Terenia złota... raz była to obrączka, złoty pierścionek z rubinem, raz kilkaset złotych, które zostawiłam w portfelu, a raz złoty ząb... Biedactwo, nieślubny mąż pijak nic nie dawał na dom, więc musiała sobie dorabiać na dwoje nieślubnych dzieci.

Jest tylko jedno wyjście: przestać pisać i nauczyć się smacznie gotować, to wprawdzie o wiele trudniejsze od napisania felietonu, czego dowodem zdumiewająca ilość ludzi piszących, a znikoma ilość dobrych kucharzy i kucharek, ale można się w końcu nauczyć. Wówczas doczekam się tego, że mąż powie:

— Wiesz, ten twój gulaszyk to istny poemat! Albo ta sałatka z drobiu to niezwykła kompozycja. Nie wiedziałem, że mam tak utalentowaną żonę!

WIERZĘ W DIABŁA WSZECHMOGĄCEGO

I WSZYSTKIE SPRAWKI JEGO

Modliło się kiedyś pewne dziecko, któremu się słowa modlitw pomieszały. Na pozór nie wierzymy w diabła i śmiejemy się z dawnych obaw ludzkości przed szatanem, niemniej słowo „diabeł” równie często wyskakuje nam z ust, jak słowo „Bóg” i gdy nas coś niedobrego spotka, jęczymy: „Boże, mój Boże, zlituj się nade mną!” i zaraz potem: „Diabli by to wzięli”. Klniemy: „Do diabła starego!” „do diaska!”, „diabli nadali” a nasi dziadkowie: „Niech to wciurności!” (Nie wiem dokładnie, co to były „wciurności” i jaki gatunek złych mocy przedstawiały, wiem tylko, że mój ojciec przeklinał w ten sposób. (Często też podkrecając sarmackiego węża powtarzał z aprobatą spoglądając na jakąś piękną damę: „A żeby ją diabli wzięli! Ależ ładna bestyjka! Psiakrew, niech ją diabli!...

W dawnych tłumaczeniach arcydzieł literatury obcej często spotykamy wykrzykniki: „Wielkie nieba!” i zaraz potem: „Piekło szatani!” lub „Niech go moce piekielne

pochłoną!”. Cała literatura i poezja Młodej Polski przesiąknięta była „kultem szatana”, począwszy od Przybyszewskiego, a skończywszy na bogobojnym Kasprowiczu, który w jednym ze swoich pięknych poematów „Klęka przed Lucyferem”, szatan i Bóg, można rzec, „w jednym stali domu”.

Wśród owych twórców nie było jednak ani jednego, który by przepowiedział zejście na ziemię samego Księcia Ciemności, czyli Adolfa Hitlera. Diabły nieraz przyjmowały różne postacie, na przykład św. Antoniego kusił diabeł w formie pięknej, rozebranej do naga kobiety. Lucyfer–Hitler przyjął na siebie postać tak zwanego dawniej „szewca” (co zresztą ze szlachetnym zawodem szewskim nie miało nic wspólnego). Szewc w owym dawnym znaczeniu to był człowieczek bez żadnej „klasy”, bez wyglądu, noszący się z fałszywym szykiem, który jedząc ciastko podnosił „elegancko” mały palec do góry i miał na małym palcu wyhodowany długi paznokiec do dłubania w uchu. Postać Hitlera to był genialny kamuflaż szatana, bo i któż by się był po tym „szewcu”, ze spuszczonego na czoło ciemnym lokiem w najgorszym stylu, spodziewał Księcia Ciemności, który dla samej frajdy mordowania rozkazał swoim diabłom zakatować na śmierć miliony ludzi.

Bóg, którego lud słusznie przezwał: „sprawiedliwy, ale nierychliwy”, zbyt długo czekał na wymierzenie kary Lucyferowi i jego diabłom. W końcu jednak dosięgła go ręka sprawiedliwości i zginął marnie popełniwszy, jak wiadomo, samobójstwo. Ale czy naprawdę? Zwłoki jego nigdy nie zostały zidentyfikowane. Diabły nie są śmiertelne i większa część ludzkości baczy teraz pilnie i działa, aby się znów nie zjawił i nie uczynił ze świata hekatombę.

Średniowiecze i wczesny Renesans nie tylko że wierzyły w diabła, ale jego istnienia nie wolno było negować, podobnie jak istnienia Boga, i kto byłby zeznał, iż nie wierzy w szatana, mógł być nawet spalony na stosie. Przyczyną tego było zaćmienie umysłów pozbawionych wówczas nauki i wiedzy. Owa ciemnota nie mogła zrozumieć i wytłumaczyć sobie wielu zjawisk, jak grzmoty, pioruny, zaćmienie słońca czy księżycy, a nie znając jeszcze siły elektryczności, piorun kulisty, który by wpadł do mieszkania, jak to czasem czyni, uważali za zjawienie się samego szatana, który przyszedł, aby ich spalić ogniem piekielnym.

Niemniej trudno jest negować istnienie złych mocy, kiedy się wciąż z nimi stykamy. Któż, jak nie diabeł, kusi bezrobotnego debila, aby popełnił mord rabunkowy? Roztacza przed nim czarowne wizje własnego samochodu, bogactw i... morza wody w towarzystwie pięknej dziewczyny. „Nie bój się — szepcze mu do ucha — moja głowa w tym, aby cię nie złapali, a nawet gdyby się tak stało, to co?

Dostaniesz kilka lat kicia, a potem przyjdzie amnestia. W kiciu zresztą nie jest tak źle, nie musisz, bracie, pracować, a dostajesz wcale niezłe wyżywienie. Masz tam telewizję, jest kiosk, gdzie za forszę, którą z domu otrzymasz, możesz sobie kupić papierosy i kielbasę. Fajno jest. Co się jeszcze wahasz, ty gnojku? Wolisz dalej biedować? Luu tego kierowcę przez łeb, tak aby nie zipnął, jazda!”

Sam przestępca potem przyznaje się na rozprawie sądowej, że to widocznie „diabeł go skusił”.

Oprócz diabłów, o instynktach zbrodniczych, którzy łakną krwi, otacza nas cała sfera pomniejszych złośliwych diabełków, których podszeptom tak często ulegamy.

Z powodu czyichś nalegań i zachęceń pijemy ten ostatni kieliszek, który człowieka rozkłada i każe mu rozrabiać. Któż jak nie szatan namawia męża pijaka, aby zaczął lać swoją żonę, szepcząc mu w dodatku do ucha: „Kiedy mąż żony nie bije — to jej wątroba gnije” i rechocząc z uciechy. A te szatany–gracze?

Najwięcej działają one przy grze w pokera. Przecież najzupełniej wyraźnie szepczą graczowi do ucha: „Dołóż jeszcze te dwieście złotych, sprawdź albo

lepiej przebij wyżej. Powiedz: te dwieście i jeszcze dwieście, może pomyśleć, że ty masz fula, i złęknie „się.”

Szatan wie, że to przeciwnik ma fula, a jego ofiara tylko dwie pary, króle i asy, ale go złośliwie namawia.

Te same fałszywe podszepty uprawia na wyścigach konnych i zawsze poradzi nie tego konia, który pierwszy dobiegnie do mety.

— Nie miałem nosa — mówi potem osobnik, który przegrał. — A tak miałem ochotę postawić na Mahometa, który wygrał, ale w ostatniej chwili postawiłem na Dżokera. Diabli by to wzięli!

Pełno jest również wokoło nas owych niedorozwiniętych diablików, które nam złośliwie chowają przedmioty, dosłownie spod ręki. Trzymało się nożyczki w ręce, krajało się nimi, nagle nożyczek nie ma! „Diabeł przykrył ogonem” — mówi wówczas lud, który często miewa słuszość. Na szczęście mamy św. Antoniego, który za drobną opłatą podnosi ogon diabelski do góry i znajduje dany przedmiot. Istnieją również diabły-tłuczki, które nagle wytrącają nam z ręki jakiś porcelanowy lub szklany przedmiot i tłuką go w drobiazgi. Powolnymi pomocnikami diabłów-tłuczków są nasze gosposie, które słuchają jego podszeptów i z prawdziwą diabelską radością tłuką nieraz cenne przedmioty.

„Ucieka jak diabeł przed święconą wodą” — mawiają ludzie. W czasach kiedy silnie wierzono w diabelską moc, księża kropili wodą święconą nowe mieszkanie, aby ciemne moce w nim nie zamieszkały, świeciło się również suto zastawiony stół wielkanocny, widocznie po to, aby diabeł nie napluł do kielbas i smakowitych placków.

Wszystko, co się tutaj napisało, nie jest na serio, autor pisząc te dociekania i argumenty uśmiechał się i przymrużał oko. Ale że poważni uczeni, teologowie i filozofowie, średniowieczni alchemicy, którzy wywoływali diabła, aby im pomógł w odkryciu słynnego „kamienia filozoficznego” mającego się przyczynić do fabrykacji prawdziwego złota — wierzyli w diabła do tego stopnia, że im się pokazywał — w to trudno nam jest uwierzyć. A jednak — przypomnijmy sobie tylko słynnego doktora Fausta, który nie był li tylko kompozycją genialnego mózgu Goethego i innych twórców, ale istniał naprawdę.

Oto kilka danych o tym niezwykłym uczonym. Otóż urodził się on około roku 1480 w Niemczech w Kunslingen. Studiował na uniwersytecie w Heidelbergu, gdzie zrobił doktorat teologii i filozofii. Ponieważ to nie zaspokajało jego żądzę wiedzy, więc zaczął się oddawać tak pasjonującej wówczas umysł czarnej magii, okultyzmowi i nekromancji. Wiele ówczesnych gałęzi wiedzy było otoczonych tajemniczą okultystyczną mgiełką, jak astrologia, alchemia (matka dzisiejszej chemii) oraz leczenie, i wielu chorych więcej wierzyło znachorom niż eskulapom, którzy jeszcze do czasów Moliere leczyli chorych przeważnie puszczeniem krwi i., lewatywą.

Marcin Luter, który ostatnie dni swojego życia spędził w Wittenberdze, znał osobiście Fausta i również wierząc w potęgę szatana, powiedział o wybitnym uczonym, „że potrafi on uczynić co zechce, ale w końcu drogo za to zapłaci”. Wokoło Fausta zaczynają krążyć plotki, że jest czarnoksiężnikiem i że udziela lekcji czarnej magii. Teologowie są niespokojni i nasyłają mu franciszkanina, również teologa, który go pragnie nawrócić tłumacząc pocziwie, że Bóg mu przebaczy, jeśli zerwie z szatanem i zacznie żyć według boskich przykazań.

— Oceniam waszą dobroć i troskę o moją osobę — odpowiada Faust — ale to byłoby niehonorowo. Podpisałem pakt z diabłem moją własną krwią — on wywiązuje się lojalnie ze swoich zadań, więc jak mógłbym się wycofać. Zresztą więcej wierzę w

diabła niż w Boga.

W kilka lat później, ścigany przez swoich prześladowców, chroni się do przydrożnej karczmy, gdzie zostaje zamordowany. Ma głowę przekreconą do tyłu (system jakoby praktykowany przez szatana).

Najciekawsze jest to, że przez siłę sugestii i autohipnozy słynny uczoney widuje się z diabłem i zeznaje, iż podpisał z nim pakt własną krwią. Czy znakomitemu uczonemu chodziło naprawdę o uzyskanie od diabła eliksiru wiecznej młodości, czy też pragnął znać tajemnicę kamienia filozoficznego i z nim związaną receptę na wynalezienie złota? A może jedno i drugie za taką cenę, jak oddanie po śmierci duszy diabłu? W każdym bądź razie w historii doktora Fausta mamy dwa największe marzenia ludzkości: wieczna młodość — i złoto.

Wiecznej młodości dobry Bóg odmawia, a co do złota, to poleca nam tylko i wyłącznie zdobyć je własną pracą. Czyż nie powiedział już Adamowi w raju: „Będziesz pracował w pocie czoła!”. A zdobywanie złota drogą nielegalną, do czego właśnie pomocny jest szatan — często kończy się fatalnie.

Od wieków lud wiedział o tym mówiąc, że „bez pracy nie ma kołaczy”.

Co do wiecznej młodości, to nasi chirurdzy zastępują w tym wypadku diabła, ale tylko jak chodzi o... kobiety i operacje kosmetyczne, wcale za to nie żądając cudzej duszy. Jeżeli idzie o zanikającą w pewnym wieku młodość u mężczyzn, na czym im bardziej jeszcze zależy niż kobietom na pięknym wygładzonym buziaku — to... trzeba się w dalszym ciągu zwrócić do diabła, jak doktor Faust, bo gerioterapia tylko w małym stopniu zapobiega nieubłaganemu postępowi starości. Dużo znam mężczyzn, którzy by za sprawność i siłę młodości oddali duszę diabłu, tylko że obecnie nikt prawie w istnienie duszy nie wierzy, a szatan śmiały się w kulak z takiej oferty. Świat czarów, świat tajemnic przepadł bezpowrotnie. Za to mamy różne piekielne maszyny, które hałasują jak... sto diabłów!

I WILK SYTY, I OWCA CAŁA

Gdybyśmy to znane przysłowie zmienili na: „Gdy wilk syty, to i owca cała”, pasowałoby ono w sam raz do prawie każdego małżeństwa, ponieważ gdy wilk, czyli w tym wypadku mąż, syty, to i owca, czyli żona, cała.

Już od progu pan domu wracając z pracy przyznaje się do swojego „wilczego apetytu”. Gdy na stole nie ma nic, zaczyna przykrymi słowami nadgryzać owcę-żonę. Próżno, biedna, tłumaczy się, że przecież ona też pracuje i nie ma czasu zajmować się obiadem, to do niego nie dociera. Chociaż pewnie nie czytał Engelsa, ale intuicyjnie mu wierzy, że kobieta jest stworzeniem fizycznie silniejszym od mężczyzny i może podolać o wiele większym ciężarom.

Równouprawnienie rozumieją mężowie tylko jednostronnie i rzadko zdarza się taki, który by pracującej poza domem żonie pomógł w zakupach i gospodarstwie domowym.

Gdy zmęczona po swojej biurowej pracy zechce na chwilę położyć się i odpocząć, usłyszy wiele gorzkich zdań zaczynających się od słów „Dlaczego inne żony...”

— Dlaczego żona profesora Misia, chociaż jest lekarką, potrafi przygotować mężowi smaczny posiłek. Mówił mi, jaka z niej znakomita gospodyni.

Albo:

— A taka Babulska? Pół dnia pracuje w redakcji, a gdy kiedyś wpadłem do nich po godzinie szesnastej, to ujrzałem tak smacznie zastawiony stół, że aż mi oko zbieleło.

— Tak, tak — zakończył swoje żale — inne żony to dbają o swoich mężów, nie tak jak ty...

Takimi oto wymówkami szarpie mąż żonę, niczym wilk kłami owcę.

Znamy wszyscy miłą żołnierską piosenkę Serce w plecaku. Dzielne żołnierzyki

noszą może serca w plecaku, ale przeciętny mężczyzna nosi je w... żołądku i kocha przede wszystkim żonę, która mu daje smacznie jeść.

Trzy czwarte naszego społeczeństwa spożywa obiady w stołówce. Żona w swoim zakładzie pracy, mąż w swoim, a dzieci w przedszkolu. Nie ma już wspólnych posiłków, jak dawniej, nie ma tak zwanego dawniej „rodzinnego stołu”, przy którym cała rodzina się zbierała i prowadziła rozmowy, spory i dyskutowała na różne tematy, tak że dawna formułka używana przy separacji, a mianowicie: „rozdział od stołu i łoża”, nie jest już dzisiaj aktualna.

Kobietom na ogół jedzenie jest raczej obojętne, zjedzą byle co, byle nie być głodnym, ale samiec ma większe wymagania niż zraz mielony z buraczkami albo kawałek smażonego dorsza z surówką. Jest to dla niego coś równie mało atrakcyjnego jak spełnianie obowiązku małżeńskiego, które po kilku latach wspólnego pożycia staje się naprawdę obowiązkiem, podczas którego żona myśli tylko o tym, aby nie „złapać dziecka”, a mąż — aby tę sprawę jak najprędzej „mieć z głowy” i spokojnie zasnąć.

Znany w dwudziestolecium międzywojennym filozof i publicysta Mullford cytuje nawet takie wypadki, kiedy jedna żona podczas aktu małżeńskiego czytała gazetę, a inna wciąż spoglądała na ręczny zegarek.

Stołówkowy obiad, przy którym zwykle czyta człowiek codzienną prasę i spogląda na zegarek, kiedy mu wreszcie podadzą deser, czyli kompot z dwoma śliwkami albo ciągnący się jak guma kisielek, to też obowiązek, który się spełnia dla zaspokojenia innego rodzaju głodu.

Przezorna żona winna mieć zawsze w lodówce jakiegoś „tataru”, rybkę w galarecie, jajka na twardo, ażeby zaspokoić żołądkowe zachcianki męża. Jeśli pokornie poprosi do takiej zagryzki o kieliszek wódki — dać mu. Popijanie męża w domu w asyście żony — nie jest groźne, groźne jest natomiast, gdy po stołówkowym obiedzie pójdzie z kolegami na piwko, które zwykle kończy się głębszym pijaństwem.

Poza tym lekceważenie przez żony apetytów męża na „coś dobrego” kończy się często tym, że facet znajduje sobie jakąś ciepłą wdówkę albo jeszcze cieplejszą rozwódkę, która poczęstuje go taką kolacyjką, o jakiej marzy, a jakiej mu żona nie przygotowuje, bo ‘ ktoś tak dba o sprawę dawno załatwioną i dawno zdobytą. Z wdzięczności za ten smaczny posiłek ofiaruje jej siebie na jedną noc... która zwykle będzie miała dalszy ciąg.

Pamiętajmy więc, że z najpiękniejszą kobietą mężczyzna się potrafi rozwieść i porzucić ją, ale z dobrą kucharką nigdy!

NIE PAL BEZ POWODU!

(TYLKO DLA PALACZY)

To ostrzeżenie mam wypisane dużymi literami w głowie i staram się być mu posłuszna, jak również polecam to wszystkim palaczom. Co oznacza: Nie pal bez powodu?! Oznacza to, że nie należy palić, jeżeli nie ma ku temu okazji, co zwykle czynią mężczyźni, a więc przy wyjściu z kina, przy telewizji, w halach dworcowych, w pociągu i na ulicy.

A czy są takie momenty, w których papieros jest niezbędny? Oczywiście, że są. Na przykład w momentach dużego zdenerwowania lub gdy się u przyjaciela chce zaciągnąć pożyczkę, wiedząc z góry, że gdy jej udzieli, przestanie być naszym przyjacielem, a gdy nie zechce tego zrobić, to my przestaniemy się z nim przyjaźnić. Albo na przykład podczas ważnej rozmowy z tępym redaktorem (choć takich nie bywa) w sprawie wznowienia jakiejś naszej powieści lub gdy się czeka na kogoś bliskiego, a ten się nie zjawia, godziny przechodzą, a jego nie ma.

Straszliwe obrazy rozwalonego samochodu, w którym on tkwi ciężko ranny (jak nam się wydaje), łagodzi papieros. My się trujemy, a ukochany siedzi u innej damy i popija koniak, przegryzając jej wdziękami.

Zawodowi szachiści palą dla podniety mózgu jednego papierosa za drugim i nerwowi mistrz Fischer (o ile jest palaczem) uzyskuje pewnie i pod tym względem rekord.

Finał smacznego obiadku też trudno sobie wyobrazić bez papierosa „na wety”.

Pewien lekarz zakazał swojemu pacjentowi używania tytoniu.

— Niech pan je to, co panu smakuje, zamiast palić, może pan jeść, ile się panu podoba...

— Ależ panie doktorze — wybuchnął pacjent — przecież ja tylko po to jem, aby potem zapalić Carmena czy Gauloisa!

Wiemy, co oznaczał papieros podczas wojny i jak się żołnierze za nim uganiali. A w obozach karnych! Więźniowie nieraz oddawali swoje racje chleba za paczkę papierosów.

Nie będziemy się rozpisywać na temat szkodliwości używania tej chwilowej trutki ani rozwodzić nad tym, jakie w naszych organizmach może zrobić spustoszenie.

Jesteśmy już pod tym względem dokładnie uświadomieni. Czy jest na to rada? Jest.

Podwyższyć znacznie cenę wszystkich papierosów.

W krajach zachodnich, gdzie papierosy bardzo podrożały, ilość palaczy znacznie się zmniejszyła, co miałam okazję skonstatować będąc rok temu w Paryżu. W kafejce ulicznej, w której siedziałam, zauważyłam, że żaden z mężczyzn nie palił ani papierosów, ani cygar. Paliłam tylko ja i... kształtna (to znaczy o bujnych kształtach) dama z czarnymi kędziorami, wyglądająca nie tyle na córkę Koryntu, co na... ciotkę Koryntu. Ponieważ we Francji nikt się nie dziwi, gdy się do obcej osoby zagada, więc zapytałam się owej damy:

— Co to znaczy, że prawie zupełnie znikli amatorzy papierosów. Czy może boją się raka płuc lub chorób serca?

— Nic podobnego — odparła dama — tylko papierosy bardzo podrożały, ludzie u nas są oszczędni.

To samo zauważyłam i w Szwajcarii, gdzie tabliczka czekolady, tej najlepszej na świecie, kosztuje tyle co pudełko papierosów z filtrem. Mimo iż mi się wydaje, że nie mogę wytrzymać bez papierosów, wolałam sobie za moje skromne dewizy kupić czekoladę.

Przed wojną w latach trzydziestych istniała, o czym już nikt nie pamięta, propaganda polskich wyrobów tytoniowych i ja otrzymałam od samego Melchiora Wańkowicza, który spółkował z Monopolem Cukrowym („Cukier krzepi!”) jak również z Monopolem Tytoniowym, zamówienie na felieton propagujący polskie wyroby tytoniowe. Z wrodzoną figlarnością napisałam długi felieton o skromnej Poleczce (tenisistce), w której zadurzył się syn pewnego lorda. Snobski papa nie był skłonny zgodzić się na związek swego syna z ową Polką, ale gdy go poczęstowała polskim papierosem, zgodził się na drugi dzień.

— Mam trudności z wypróżnieniami rannymi — oświadczył szczerze — ale gdy na czczo wypaliłem polskiego papierosa, efekt był od razu zdumiewający! Żeń się z tą miłą dziewczyną, mój chłopcze, tylko ona musi mi dostarczać stale tych świetnych polskich papierosów.

Felieton jako niecenzuralny nie został przyjęty ku mojemu zdumieniu, ponieważ niektóre nasze papierosy przedwojenne miały właśnie takie zbawienne działanie, co wypróbowałam na sobie.

Pamiętam, że tygodnik kobiecy Bluszcz też w sposób dyskretny propagował nasze papierosy.

„Piękna pani — pisała jakaś redaktorka — winna mieć zawsze w domu dla gości przygotowaną kasetkę z różnego gatunku papierosami, aby nie musieli palić swoich”.

O szkodliwości tytoniu nikt nawet nie śmiał wspomnieć. Palenie papierosa było gestem towarzyskim, bez którego nie odbywała się żadna rozmowa ani żaden fajf. Łykało się dym haustami w każdym domu i w teatralnych kularach, i w przedziałach kolejowych, i oczywiście w kawiarniach. Wymyślano za to przeciwko smrodliwemu dymowi z papierosów i cygar efektowne porcelanowe „Brule Parfum”, malowane w chińskie smoki, które wewnątrz posiadały żarzącą się lampkę absorbującą papierosowy dym i wydzielającą różne „upojne” wonie...

Te estetyczne aparaciki wyszły, nie wiadomo dlaczego, zupełnie z użycia i nawet w Paryżu na „Marche aux Puces” nie spotkałam się z nimi, chociaż przybyły one do nas z Francji i pewna piękna hrabina miała w Warszawie przedstawicielstwo tej firmy.

Nasza obecna antynikotynowa propaganda jest mądra i słuszna, szkoda jednak, iż w tej samej mierze nie likwiduje się w centrum Warszawy ohydnych kiosków z piwem. Szkodliwość palenia jest, jak już wspomniałam, stwierdzona, niemniej mąż wypaliwszy paczkę Sportów nie będzie lał swojej żony i dzieci, jak to czyni pijak, i nie będzie kaleczył jej uszu, jak również i nam sąsiadom, stekiem plugawych słów. w skomplikowanych zestawach.

LITOŚCI DLA DZIECI!

Pewien ojciec rzekł raz do syna:

— Prawdziwe szczęście, mój synu, odnajdziesz tylko w małżeństwie. Sam się o tym przekonasz, tylko że wówczas będzie już za późno...

Przy dzisiejszych, tak ułatwionych rozwodach nigdy nie jest za późno. Młodzi małżonkowie doszedłszy do wniosku, że nie są ze sobą szczęśliwi, idą do adwokata, zeznają, iż zgodnie postanowili się rozwieść, i po kilku rozprawach uzyskują wolność. Nie byłoby w tym nic tragicznego („każdemu wolno kochać” kogoś innego), gdyby nie dzieci...

Każde dziecko przywiązuje się do rodziców. Chłopiec ubóstwia swojego tatusia, dziewczynka — mamę lub na odwrót. Nie zapominajmy, że dzieci są na ogół bardzo uczuciowe i potrafią histerycznie kochać domowego pieska oddając mu swoje najsmaczniejsze kąski. Gdy ukochanego Pimpusia czy Kajtka przejedzie samochód na śmierć, dzieci przeżywają ów szok o wiele silniej niż dorośli. Nagła utrata tatusia czy mamy to tragiczne przeżycie, które może się odbić na całym późniejszym życiu dziecka. Jest to początek owej „znieczulicy”, o której się dzisiaj często wspomina.

— Czy mój tatuś zmarł? — pyta się matki przy obiedzie sześciolatek. — Nie ma go w domu... nie przychodzi się ze mną bawić...

— Jedz zupkę — odpowiada mu wymijająco mamusia.

— A czemu nie było pogrzebu? Jak babcia zmarła, to był taki fajny pogrzeb.

— Obiadek ci wystygnie...

Często mamusia przyprowadza do domu nowego męża, oświadczając dzieciom, że to będzie teraz ich tatuś.

— Mój tatuś całkiem inaczej wyglądał — odpowiada ponurym głosem synek. — Ja chcę tego starego tatusia, nie chcę nowego, nie chcę, nie chce! — I często uderza w płacz.

Sytuacja „nowego tatusia” jest dość głupia. Dzieci spoglądają na niego spode łba, jak na przestępcę. Próżno stara się z początku przekupić je drobnymi prezencikami, prowadzeniem ich do cukierni. Ale nawet lody Eskimo nie są w

stanie przełamać lodów, które między nim a dziećmi żony istnieją. To zwykle nie koniec tej dziecięcej tragedii. Mamusia zaczyna tyć nieproporcjonalnie.

— Mamusi niedługo brzuszek pęknie — wzdycha córeczka.

Ojczym czuje się w obowiązku uświadomić dzieci, na co się zanosi.

— Wasza mama będzie mieć niezadługo nowego dzidziusia.

— Ja nie chcę dzidziusia! — krzyczy chłopczyk — Ja chcę pieska, takiego jak mają te dzieci na górze!... W pewnej anegdotce chłopak słysząc taką wiadomość odpowiada inaczej:

— Jeśli mamusię to nie miałoby bardzo boleć, to ja wolałbym jeża...

Dzidzius przychodzi na świat. W domu pełno wrzasków i ryków noworodka. Dzieci poza szkołą żyją na podwórku, bo w domu nikt się nimi nie zajmuje. Mała Agatka albo Elżbietka zaślepiła ich miejsce w sercu matki. Nikt ich nie całuje, nie pieści. Ciepło rodzinne przemieniło się w nie opalany pokój. Niech nikt nie myśli, że ja tak przepadam za dziećmi jak inne kobiety, ale kocham wszystkie szczeniaczki, kocięta i pisklęta, więc w tym uczuciu jest miejsce i dla ludzkich piskląt i krzywda, która im się nieraz dzieje z winy rodziców, razi mnie i boli. „Świadome ojcostwo” — oto rada dla młodych małżeństw. Nie płodzić bezmyślnie dzieci, jak to czynią koty i psy.

Dwudziestoletni ojciec wpierv wozi ryczący skarb w wózek, co się obecnie tak często spotyka, ale po dwóch lub trzech latach zaczyna go więcej bawić duże dziecko z długimi włosami i w krótkiej sukience. Żona i dzieciak już go nie cieszą. Stara się o rozwód i żeni się z tą nową ukochaną... Oprócz „świadomego ojcostwa” zalecane byłyby daleko idące utrudnienia w uzyskaniu rozwodu tam, gdzie są dzieci. Na ów projekt powstaną sprzeciwy, że dzieci w skłóconym małżeństwie, gdzie tatuś, wróciwszy z pijatyki, leje mamusię obrzucając ją tak zwaną „wiązanką dla Ewy”, jest jeszcze szkodliwsze dla kształtowania się ich charakterów.

Więc wychowanie dzieci od małego na koszt państwa w specjalnych zakładach? Też niedobrze i przeciwko naturze. Każdy pies, stworzenie najbardziej zbliżone do człowieka, dąży do tego, aby mieć swojego pana. Zauważyć to się daje w schroniskach dla psów, gdzie można sobie pieska wziąć na własność. Trzeba widzieć, jak taki psiak się podlizuje, jak błaga wzrokiem, aby go wziąć na własność, jak skamle żałośnie.

W Domu Literatów w Oborach jest duży „wielorasowy” pies. Nie miał swojego właściciela i należał jak gdyby do inwentarza domu. Postanowił jednak nie być psem beżpańskim. W tym celu upatrzył sobie sympatycznego montera, który tu często się zjawiał, i zaczął się za nim włóczyć. Monter opowiadał, że się go z początku bał, „bo tak siedział i oczu ze mnie nie spuszczał”, ale wkrótce polubił go i wziął do siebie. Dzisiaj pies ma swojego pana i nie opuszcza go ani na chwilę. Należy zaznaczyć, że nie chodziło mu wcale o wyżywienie, ponieważ wszyscy wtykaliśmy mu do pyska, co się zostało z obiadu czy śniadania. Chciał mieć kogoś, do kogo by należał i kogo mógłby adorować.

Pies musi mieć swojego „pana” czy „panią”, tak jak dziecko tatę i mamę.

Była przed wojną taka książeczka Henri Montherlanta pod tytułem: *Pitie pour les femmes* (litości dla kobiet). Szkoda, że ów autor nie napisał również książki pod tytułem: „Litości dla dzieci!” Może by takie dziełko poruszyło sumienie młodych małżonków, zwłaszcza że to byłby towar zachodniego pochodzenia.

PSYCHOLOG

Niektóre słowa i nazwy zmieniły swoje dawne znaczenie, jak na przykład

„tradycja” („Ten towar zakupi pani na »tradycji«, — tłumaczyła mi ekspedientka w jednym warszawskim Sam-ie). Po zastanowieniu domyśliłam się, że oznacza to punkt sprzedaży tradycyjnej, czyli nie samoobsługowej.

Dawniej kompleksy miewali tylko ludzie, obecnie również i nasza konfekcja.

„Ubrania kompleksowe” — widniał napis w jednym sklepie odzieżowym.

Niechże więc i słowo „psycholog” zmieni swoje znaczenie i człowiek oddający się badaniu i obserwacji psich ras i ich charakterów uzyska również to miano.

Typowym psychologiem jest Ludwik Kern, który jak mało kto zna psy i ich obyczaje. Ja, kochająca psy od małego dziecka, również pretenduję do owego tytułu i jako dziesięcioletnia dziewczynka zyskałam w rodzinie opinię bohaterki, ponieważ jednemu z naszych psów, który zdradzał objawy wścieklizny i któremu z pyska lała się piana, nałożyłam kaganiec, czego nikt ze starszych nie odważył się uczynić. Był to mój piesek i jako psycholog wiedziałam, że swojej pani on nie ugryzie.

Zawsze wołałam mieszańce od rasowych psów arystokratów, uważałam je za wiele mądrzejsze od tamtych, jako że złożyło się na nie kilka różnych ras. Jedna z moich wielkich młodocianych miłości był nieziemskiej piękności kundelek, połączenie ogara z jamnikiem. Kiedyś, pamiętam, rzucił się na niego jakiś duży pies i targał Kruczkiem niemiłosiernie. Staralam się wyrwać mojego pieska z kłów napastnika i przy tej okazji narobiłam wiele krzyku.

— Tyle krzyku o takiego nierasowego psiaka! — powiedział pogardliwie jakiś wyrostek.

— A pan to niby taki rasowy! — odpowiedziałam mu butnie, co wywołały wybuch śmiechu wśród reszty spektatorów.

W tym miejscu przypomniał mi się kolorowy obrazek w książce z wierszykami dla dzieci, który przedstawiał dwie młodociane pary, jedna para były to dzieci zamożnych rodziców, w szafirowych aksamitnych ubrankach i wysokich sznurowanych bucikach, druga — ubogie dziatki, bose, w chusteczkach na głowie. Pod tym obrazkiem był następujący wierszyk;

Patrzcie, patrzcie, to panięta,

myna pyszna i nadęta,

A to skromne, ciche dzieci.

Mówcie, które wy wolicie?

Obie z moją siostrą podpisałyśmy pod tą ubogą parą: „My wolimy te!”

Może właśnie od tego czasu nie lubię „nadętych paniąt”, nawet jak chodzi o pieski, i wolę te „ciche, skromne dzieci”.

Po mojej dzielnicy spaceruje stary pan trzymający na smyczy dwa rasowe Bedlingtony. Mój kochany owczarek nizinny Kuba to wobec nich jak samochód Syrena czy Trabant wobec Jaguara i Porche’a. To połączenie owcy ze snobizmem stanowi cenny towar, za który stary pan może otrzymać grubszą forszę. Z furią odgania więc laską psi plebs, co by tak pragnął obwąchać tę arystokrację, która zresztą nie zwraca na zwykłe psy uwagi. Kubie też się dostaje, urażony w swojej mieszczańskiej ambicji idzie... w krzaczki. Siadam na ławeczce i wtedy podchodzi do mnie „uboga” nierasowa suka przybłęda o pięknych oczach hiszpańskiej dziewczyny ulicznej. Wyczuwając we mnie psy-chologa kładzie mi z ufnością długi pysk na kolanach. Rozumiemy się, ona wie, że kocham kundle, a ja — że uboga jest głodna. Mam w torebce tylko kawałki bułki dla gołębi, wkładam jej do pyska.

— Hap, hap, hap! — suka połknęła bułkę i wzrokiem prosi o jeszcze. Chcę jej dać, ale na to wylatuje z dzikim ujadaniem mój Kuba z krzaków i wydziera jej suchą bułkę z pyska, on, który jada przeważnie tylko szyneczkę i resztki kurczęcia.

Podła zazdrość. Suka odchodzi z pokorą i rezygnacją przepędzonych żebraków. A wniosek: Snobizm i zazdrość to uczucie zwierzęce. Kuba na przykład rzuca się na byle jak ubranych monterów czy malarzy pokojowych, ale za to podlizuje się dobrze ubranym gościom, którzy do mnie przychodzą.

Należy bardzo uważać, „kogo” się do domu wpuści na zawsze. Pies, którego przyjmujemy na własność, to już sprawa dozgonna (oczywiście jak chodzi o niego). Bo cóż zrobić z nieznośnym czasem psiakiem? Darować? Nikt go nie zechce. Porzucić gdzieś niby przypadkiem — grzech przeciwko boskiemu stworzeniu. Nie ma rady, musi się go znosić tak, jak niedobry aparat telewizyjny. A taki pieszczoł potrafi czasem zatruć swoim państwu życie. Na przykład rozkoszny czarny pudełek „na szpileczkach”, z czerwoną obrózką. Żadne dziecko nie potrafi być tak czule i tak absorbujące jak takie czarne książętko. Wrzeszczy wniebogłosy, gdy go się zostawi na kilka godzin samego, niektóre trzeba tylko karmić łyżeczką, inaczej jedzenia nie tkną.

Jego właścicielka przed pójściem do swojego biura biega za cielęcina dla niego, bo żadnego innego mięsa nie tknie. Gdy wraca do domu, często zastaje ściągnięty obrus ze stołu, stłuczony cenny wazon i swój nowy kapelusz w zębach rozkosznika, który nim targa, siedząc wygodnie na sukni swojej pani i łypiąc zabójczym czarnym okiem. Czasem na taki widok pani oburzona uszkodzonymi, które narobił, daje mu kilka klapsów, na co jej syn zaśmiewając się, powiada:

— Nie myślałam, mama, że masz tak mało poczucia humoru! Popatrz, jak mu piórka z twojego kapelusza wyfruwały z pyska, skonać można ze śmiechu!

Właściciele czarnego diabełka nigdy nie mogą wyjechać razem na urlop. Bo z kim piesek zostanie? Do żadnego pensjonatu czy domu wczasowego gościa z psem nie przyjmą, jedno więc musi prażyć się latem w dusznym mieszkaniu w mieście, a drugie jedzie w góry czy nad morze. Harmonijne dotychczas pożycie małżonków zachwiane, osamotniony mąż pociesza się wizytami tej młodej pani, „która tak lubi psy”, a żona na letnim urlopie znajduje sobie adoratora, któremu się zwierzyła, że bez pieszczoł swojego pieska Florka żyć nie może, więc on stara się go zastąpić...

Mówi się, że mąż i żona od Boga przeznaczona, wierzę w to, inaczej człowiek by nieraz takiego kapitalnego głupstwa nie popełnił. „Pies domu” również jest jak gdyby przeznaczony nam wyrokiem losu. Kiedyś mój mąż przyprowadził do domu, składającego się wówczas z „izby” z kuchnią, młodą premiowaną bokserkę, która nie nadawała się do policyjnej tresury, więc ją chciano... zlikwidować. Jej czarny pysk i wystające zęby starej Angielki zabawiły mnie.

— Dobrze, ale co zrobimy z kotem? — zapytałam z niepokojem.

— Ludzie twierdzą — rzekł pogodnie: mąż — że jedno dziecko przy drugim lepiej się chowa... więc ze zwierzętami pewnie jest tak samo.

— Ale ile ona będzie żarła? — westchnęłam spoglądając na jej duży wzrost i atletyczną budowę. — Skąd my na to weźmiemy pieniędzy?

— Daje pan Bóg dzieci, daje i na dzieci! — odparł mąż dowcipnie.

Suka zjadła wszystko, co było w domu, wypila mleko kotki, po czym pełna sił wywróciła mnie z figli na ziemię i z czułości zaczęła mi obgryzać ręce i nos. Przekonawszy się, że mam niewiele z młodego wesołego zwierzęcia, zabrała się do kotki. Zaczęła się szaleńcza gonitwa po wszystkich meblach i stołkach. Syjamska kotka miaucząc czepiała się firanek, Cytra, bo tak się nazywało to żółte rasowe bydło, ujadając wściekle chciała się wspiąć za nią. Przy okazji zdarła firankę, stłukła doniczki z kwiatami na oknie, złamała krzesło i wywróciła stół. W czarnej rozpaczycy usiadłam na tapczanie i łzy zaczęły kapać poprzez splecione

palce.

— Nie wiadomo, jak ci dogodzić — rzekł kwaśno mąż — zawsze mi opowiadałaś, że w każdym angielskim domu jest pies i kot, które żyją ze sobą w zgodzie i harmonii, a teraz robisz z tego tragedię. Może się jakoś zżyją...

Nasze życie stało się odtąd koszmarem, ale po pewnym czasie mężowi udało się odstąpić sukę swojemu znajomemu na wsi. Na trzeci dzień, gdy wróciłam z miasta, mąż oświadczył mi wesolutko:

— Zgadnij, jakiego mamy gościa.

Gdy nie zgadłam, wypuścił z kuchenki Cytrę, która rzuciła się na mnie z czułościami. Okazało się, że owemu gospodarzowi zjadła od razu trzy kury, wygoniła krowę z obory, wyłamała płot i... zagryzła psa sąsiada, a przy okazji zeżarła im całą kielbasę, bochenek chleba i wypila wiadro mleka.

Poszłam wówczas na stację, kupiłam bilet do Krakowa i zwiałam.

Gdy wróciłam, Cytry już nie było, mąż zdołał ją komuś wpakować, za to kotka syjamska pachniała perfumami pewnej znajomej pani.

— Była tu Irena — rzekłam głosem stanowczym.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Powąchaj kotkę...

Incydent z bokserką zacytowałam jako ostrzeżenie, aby nie brać do małego warszawskiego mieszkania młodej bokserki atletki. Nie wiercie, że to takie „dobre, łagodne pieski”. Łagodne do czasu, bo nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy. Znam wypadek, kiedy rasowy bokser, w pięknym skórzanym kombinezonie w czarne i brązowe paski, tak z niewiadomych przyczyn ugryzł nagle swoją panią w ramię, że dostała zakażenia i musiała długo się leczyć. Pozorna łagodność i tkliwość psów tej rasy przypomina łagodne nieraz zachowanie się wariatów. Kto chce mieć spokój w domu, a zarazem pieska, niech się postara o polskiego owczarka nizinnego. Jest to rasowy pies o zaletach... kundla, a więc je wszystko to, co ich państwo, jest w miarę wierny, tak, że jadąc na urlop można go komuś podrzucić i nie będzie owym znajomym zatruwać życia historyczną tęsknotą za swoją panią czy panem, a w ogóle w przeciwieństwie do nas — kocha ludzi, a nienawidzi psów. Można go zostawić na kilka godzin samego w mieszkaniu i nie będzie wyc ani szczekać. Nie zanudza zbyt swoimi erotycznymi sprawami. Jest wesoły, figlarny i kocha przyrodę (łącznie z młodymi zajączkami i kurami)... Mój Kuba otrzymał nawet przydomek „Kuba-rozpruwacz” (kur), ale to było dawno i odzwyczailiśmy go do tego rodzaju polowań. Kocha nade wszystko dzieci, może dlatego, że gdy stanie na dwóch łapach, jest ich wzrostu. Jak prawie wszystkie psy wybiera sobie jednego członka rodziny do adoracji. U nas kocha mojego męża, chociaż ja go karmię.

— Nie wiem dlaczego — zastanawiał się mąż. — Może mu to imponuje, że prowadzi samochód, a może to, że się co dzień gołę — nie wiadomo...

POCHLEBCY

„Co to jest pochlebca? Człowiek który idzie po chleb podlizując się” (z teki powiedzonek M. S.)

Jest to prawda stara jak świat. Pochlebić osobie, na której nam zależy, nigdy nie zaszkodzi. Uwierzy — nie uwierzy, ale to wywołuje dobry nastrój.

— Jak pani zeszcupiała! — wykrzykujemy na widok persony na stanowisku, która robi wszystko, aby schudnąć, i waży osiemdziesiąt kilo.

— Ależ się pani poprawiła! — mówimy znów tej, która chciałaby utyć.

— Doprawdy? — odpowiada tamta z zadowoleniem. — Więc jednak widać to kilo, które mi na urlopie przybyło.

— No i wspaniale się pani opaliła!

Ze wszystkich drobnych pochlebstw to jest każdej kobiecie najprzyjemniejsze, ponieważ każda pragnie się opalić i od razu uwierzy, że jest brązowa, mimo iż w rzeczywistości jest żółta jak kanarek.

— Kiedy nam pani coś przyśle do Kobiety w domu i na ulicy? — pyta się, jeśli jest redaktorką.

Rybka chwyciła przynętę.

— Mogę przysłać w każdej chwili — odpowiadam. — Mam właśnie kilka takich odpowiednich felietoników...

— Bardzo prosimy.

Warto by do „opalenizny” jeszcze coś dodać — myślę rozsądnie — coś takiego, co by nie wyglądało na podlizywanie się.

— Gdzie pani znalazła taki wspaniały materiał? Chyba zagraniczny? (Widziałam całe bele takiego materiału w Juniorze).

Moja persona uśmiecha się z zadowoleniem.

— A właśnie, że krajowy — odpowiada z triumfem. — Mnie się też bardzo spodobał. Jeśli ta pani jest „za” — należy powiedzieć:

— No tak, produkujemy teraz coraz lepsze materiały i coraz bardziej atrakcyjne wzory.

Rozmowa wyszła bezbłędnie i o żadne podlizywanie się nie można mnie absolutnie posądzić.

Jeśli chodzi o komplementy naszych kum, to wychodzi na to, że zawsze wyglądałyśmy źle i staro.

— Wiesz — powiada taka przyjaciółka — wyglądasz teraz o wiele lepiej niż zeszłego roku, nawet powiedziałabym, żeś odmłodziła.

W zeszłym roku latem, pamiętam doskonale, jak ta sama osoba mówiła do mnie w ten sposób:

— Co ty robisz, aby coraz młodziej wyglądać? Chodzisz do jakiejś dobrej kosmetyczki?

Za rok, jeśli mas obu, lub jednej z nas, nie przejedzie w Warszawie rozpędzony samochód, powie mi na pewno:

— Wiesz, już nie chciałam ci mówić, ale gdyśmy się spotkały w kawiarni chyba rok temu, to wyglądałaś fatalnie. Miałaś oczy podpuchnięte, takie woreczki żółciowe na twarzy, żal mi cię było. Za to teraz!...

Mężczyźni mówią nam; komplementy albo tylko z miłości, albo z... litości, gdy nas spotkali po wielu, wielu latach.

— Nic się pani nie zmieniła od przedwojennych czasów — powiadają tak odruchowo, jak gdyby się zapytali: „Jak się pani miewa?” albo: „Co u pani słychać?”

Najgorzej się znosi komplementy tych o wiele młodszych, które mają zwyczaj dobrze się trzymającym, leciwym paniom mówić:

— Chciałabym w pani wieku tak wyglądać! Komplementami, które chciałoby się usłyszeć, nie są te od przyjaciółek lub przyjaciół, zwykle nieprawdziwe i fałszywe — ale te od... rodzzonego męża, jeśli nam na nim zależy. Jest to jednak rzecz niezmiernie trudna, ponieważ jeśli to jest dobry i kochający mąż, to uważa żonę za swoją „drugą połowę”, a przecież siebie samego nie wychwala się głośno. Wprost nie wypada. Znalazłam na to sposób, każdy mężczyzna to urodzona przekora, zawsze jest przeciwnego zdania niż jego małżonka (patrz: Gołono — strzyżono Mickiewicza).

Przychodzi więc kobieta do pokoju, gdzie przebywa mąż, i mówi z westchnieniem:

— Posunęłam się ostatnio, prawda?

— Nic podobnego, nawet uważam, że lepiej teraz wyglądasz niż przed urlopem.
— Schudłam znowu...
— Co ty opowiadasz, ja widzę, że ci przybyło.
— Czy nie wyglądam okropnie w tym kapeluszu?
— Wprost przeciwnie, nawet cię odmładza.
— Tak, że mogę w nim wyjść na ulicę?
— Jak najbardziej...
— A mówiłeś kiedyś, że mi w nim okropnie...
— Jaa? Nigdy nic podobnego nie twierdziłem.
— Z tego, co mówisz, wnoszę, że jestem jeszcze warta grzechu.
— A, tego wcale nie mówiłem. Zależy zresztą — jakiego grzechu, bo jeśli chodzi o szóste przykazanie, czyli o kradzież na przykład torebki — to się doskonale nadasz jeszcze...

Tutaj stop! Jeśli nie chcemy zamiast poprzednich pochwał usłyszeć czegoś wręcz przeciwnego, możemy odejść zadowolone, usłyszawszy jednak, i to z ust najbardziej krytycznych, że nie „posunęliśmy się”, żeśmy nie zmizerniały i że kapelusz, który chciał mi kiedyś obrzydzić, nadaje się do wyjścia w nim na ulicę.

MUSZĘ SOBIE SPRAWIĆ COŚ NIEBIESKIEGO

— Czy tak ci do twarzy w niebieskim?

— Niespecjalnie, ale czuję jakąś taką potrzebę tego koloru...

Otóż to, bez względu na modę, jednego roku czujemy nieodpartą potrzebę noszenia na sobie niebieskiego koloru, innym razem czerwonego, a nagle mamy „apetyt” na wszystkie odcienie żółtego.

Na ogół nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, jak duże znaczenie ma dany kolor dla naszego samopoczucia i stanu psychicznego. Wiemy wszyscy, że czerwony kolor działa na byka denerwująco i podniecająco, ale nie interesujemy się, jak działa on na nasz stan psychiczny i fizyczny.

W jednym francuskim tygodniku wyczytałam, że słynny wynalazca kinematografii Lumiere, którego pracownicy wywołujący klisze przebywali w tak zwanych „czerwonych pomieszczeniach”, zauważył, jak ów skoncentrowany kolor działa na nich, a mianowicie: mężczyźni, dawniej spokojni i opanowani, dopuszczali się aktów gwałtu, a kobiety były wciąż seksualnie podniecone. Wszystkie jednak te objawy minęły, gdy światło czerwone zamieniono na zielone...

Panująca od kilku lat wszędzie na świecie moda na kolor czerwony przyczynia się może do wybujałego seksualizmu młodzieży, która ów kolor zaadaptowała, nawet jak chodzi o bieliznę damską. Starsze panie, idąc za ową modą, też chętnie nakładały na siebie czerwone pulowerki, ale na szczęście ów niebezpieczny kolor nie działał już na nie podniecająco, a może jedynie dodawał im sił i energii.

Pamiętam, jak kilka lat temu poczułam taki głód czerwonego koloru, że musiałam sobie sprawić dwa czerwone sweterki i czerwoną parasolkę. To minęło i dzisiaj już nie mogę patrzeć na te czerwienie, a natomiast poszukuję tonów żółtomorelowych, które widocznie potrzebne mi są dla równowagi psychicznej, a może nawet fizycznej.

Kobiety mówią często: „ja się najlepiej czuję w niebieskim”. Ale nie wiedzą dlaczego. Tymczasem dzisiaj każdy psychiatra wie, że kolor niebieski działa kojąco, uspokajająco, a w wielu lecznicach psychiatrycznych ściany pomalowane są na kolor błękitny. Wszędzie na świecie, we wszystkich szpitalach siostry pielęgniarki ubrane są w niebiesko-białe dresy. Taki jest od lat obyczaj i każdy chory doznałby prawdopodobnie szoku, gdyby nad jego łóżkiem stanęła nagle

siostrzyczka w czerwonym fartuchu. Gdyby był młody i niezbyt cierpiący, może by to na niego tak podziałało, że miałby ochotę przyciągnąć do siebie młodą pielęgniarkę i zacząć ją całować.

Lecznictwo, nie badając dokładnie działania kolorów na psychikę i stan fizyczny chorych, nie ryzykuje jednak takich eksperymentów. Działanie zielonego koloru nie jest zbadane. Możemy jednak wierzyć przyrodzie, która w chlorofil wyposażyła rośliny i krzewy, a zieloną trawą ozdobiła łąki. W każdym bądź razie wiemy na pewno, że kolor zielony działa kojąco na wzrok i że ludzie pracujący wieczorem przy lampie winni mieć zieloną umbrellę lub abażur. Za francuskim lekarzem Pierre Vachet cytujemy wypowiedź Goethego o kolorach:

„Kolory działają na ludzką psychikę, mogą wywoływać różne sensacje, rozbudzać fantazję, wywoływać myśli, które nurtują nas i prześladowają, potrafią budzić smutek, melancholię lub radość życia”.

Widok późnej jesieni. Ogołocone z liści drzewa późną jesienią robią wrażenie wysokich cmentarnych krzyży. Ten widok działa na nas przygnębiająco, sprowadza tak zwane czarne myśli. Natomiast pogodna dziecienna biel zaśnieżonych pól sprowadza myśli niewinne i pogodne.

Ów wyżej cytowany francuski lekarz pisze następująco:

„Działanie kolorów na organizm ludzki, zarówno chory, jak i zdrowy, jest bezsprzecznie stwierdzone; Najłatwiej zauważyć je u dzieci, których żywa wyobraźnia o ilez lepiej pracuje w otoczeniu jasnych kolorów”.

Wiedzieli o tym podświadomie wszyscy zamożniejsi rodzice i mebelki w dzieciennym pokoju były zawsze lakierowane na kolor biały, a ściany obite tapetami w pastelowych kolorach.

Moda, która obecnie ma względy dla ludzi w starszym wieku, zezwala starszym paniom nosić wszystkie najjaskrawsze kolory. Ustało na szczęście ubieranie się w późniejszym wieku na czarno, czyli „noszenie żałoby po... młodości”. Czerni zaadoptowały perwersyjne smarkule wiedząc, że przy długich jasnych włosach i młodej twarzyczce — wyglądają jeszcze bardziej wabnie i interesująco. Dawniejsze matrony oprócz koloru czarnego nosiły na przyjęcia i bale suknie w „tonach stosownych do ich wieku”, czyli wszystkie fiolety i kolor bordo. Przypomnijmy sobie wspaniałą wiersz Boya Do matrony polskiej, gdzie ją ubiera w odwieczną suknię bordo. Jakież oburzenie i drwiny wywołałaby ówczesna sześćdziesięciolatka, gdyby się nagle ukazała w: sukni z różowej dzianiny, ulubionym stroju dzisiejszej starszej pani.

Jeśli już jesteśmy przy tym kolorze, to gorąco polecam go moim rówieśnikom. Sprowadza jasne myśli i pogodny nastrój, podobnie jak bładniebieski. Kolor czarny, kolor nicości i Tamtego Świata, został uznany słusznie za żałobny w krajach europejskich i po stracie kogoś bliskiego przywdziewamy czerni, ażeby nasza myśl nie odbiegała za daleko od ciemnej mogiły, w której on spoczywa. Dawniejsze wdowy składały nawet same przed sobą wotum, że do końca życia będą nosić żałobę (po panu Dulskim, któremu tak potrafiły obrzydzić życie).

Dzisiejsze wdowy szybko zrzucają ponure czarność, czując, jak przygnębiająco działają one na ich psychikę. Niedaleko już jest epoka, kiedy lekarze wśród innych leków będą zapisywać i niektóre kolory odpowiednie dla stanu zdrowia i nerwów pacjentki.

— Na nerwy, na które się pani tak uskarża — powie poważnie pani doktor — oprócz Relanium, zapiszę pani niebieski kolor. To może być sukienka, płaszcz lub pulowerek. Proszę mojego zlecenia nie lekceważyć.

Innej pacjentce zapiszę różowy kolor, innej zielony, a tej, której brak siły

witalnej — czerwony.

Z tej terapii przyszłości będą tylko niezbyt zadowoleni mężowie.

— Muszę iść sobie sprawić niebieską sukienkę — powie żona wróciwszy od lekarza.

— Co! — wykrzyknie mąż. — Znowu nowa suknia!

— Lekarka mi zapisała. Pożycz mi tysiąc złotych, oddam po pierwszym.

U mężczyzn nie jest objawem zniewieścienia chęć noszenia kolorowych koszul, wdzianek w jaskrawych tonach i wściekle kolorowych krawatów. To zdrowa potrzeba wesołości i pogody ducha, których im odwieczne szarości tradycyjnych męskich materiałów udzielić nie mogły.

Przypuszczalnie mężczyznom jeszcze bardziej, jako słabszym psychicznie od kobiet, potrzeba żywych kolorów, o czym dobrze wiedziała moda ubiegłych epok.

Nawet udając się na potrzebę wojenną, nakładali na głowy kolorowe czaka i jaskrawe mundury.

Jednym słowem kolory to życie, terapia psychiczna i pogodny nastrój, a kosmonauci spacerujący po całunowej bieli księżycy najbardziej podziwiali na czarnym niebie błyszczącą szafirową kulę — Ziemię.

SMAKOSZE

Nic tak nie odróżnia jednej epoki od drugiej, jak dowcipy i anegdoty. Dzisiejsi młodzi czytelnicy przeglądając tygodniki satyryczne z dawnych czasów nie widzą nic śmiesznego w określeniu Sonntagsreiter, czyli facet, który w niedzielę wypożycza sobie konia z maneżu i popisuje się konną jazdą nie mając o niej pojęcia. Tak nazywano też w przenośni pyszałków, którzy udają to, czym nie są. Czytelnicy nie wiedzą, co znaczy określenie „goguś” albo „złoty młodzieniec” (które dzisiaj można by zastosować do chuligana, co to wyciąga swojej ofierze złociszę z portfelu i za nie żyje przez jakiś czas ponad stan). Nie widzą nic śmiesznego w osobie tak dawniej karykaturalnie pojmowanej teściowej, która dzisiaj przedstawia dla młodego małżeństwa skarb.

Postać starego jegomościa ze złotą dewizką przy zegarku, z serwetą zawiązaną pod brodą, wybierającego ze znanostwem potrawy z karty, pojawiającego się dawniej na łamach tygodników satyrycznych, nie śmieszyłaby dzisiaj nikogo. Ot, kanciarz, który na różnych spekulacjach dorobił się forsy i niezadługo będzie siedział.

Niektóre anegdoty przedwojenne powtarzają się, ale w innym aspekcie, właściwym danej epoce. Wszyscy znamy historyjkę o pewnym smakoszu, który w restauracji zamawiał sobie befsztyk u kelnera:

— A więc, kochaneczku, befsztyczek ma być pół po angielsku, to znaczy skórka z wierzchu przysmażona, a w środku na wpół surowy. Odrobina przysmażonej cebulki, a na wierzchu kawałek świeżego maselka z pietruszką. Tylko żeby mięso było soczyste, proszę to zaznaczyć. Befszyk ma być ułożony na grzance, tylko żeby grzaneczka była ciepła i chrupiąca”.

Kelner bierze zamówienie, idzie do kuchni i woła:

— Befszyk raz!

Podobna anegdota, ale przystosowana do dzisiejszych czasów, brzmi następująco:

Czterech mężczyzn zasiada przy stoliku w restauracji. Wszyscy czterej zamawiają kotlety schabowe z kapustą. Czwarty gość woła za kelnerem:

— Tylko żeby kotlet był świeży! Kelner idzie do kuchni i woła:

— Cztery schaboszczaki, jeden świeży!

Dzisiaj określenie „smakosz” przestało być aktualne. Bo i cóż smakosz może otrzymać za przysmaki nawet w najdroższej restauracji? Co najwyżej za wygórowaną cenę „bryzol z frytkami” tak twardymi, że można na nich zęby wyłamać, z talerzykiem sałaty zielonej na occie, która mu wykrzywia usta swoim kwasem. Z

ryb może dostać smażonego dorsza lub w najlepszym razie szczupaka. Nie wiadomo, kto nam zjada raki, sandacze, łososie i węgorze. Czyżby wszystkie szły na eksport?

Ponieważ więc jedzenie stało się teraz w Polsce zaspokajaniem głodu, a nie „rozkoszą podniebienia”, więc zanikł również i typ konsumenta—smakosza. Młodzieży jest zupełnie wszystko jedno, co zje, byle to popić piwkiem, a starsze roczniki nie mają nic do gadania.

Czy pamiętacie, starsi czytelnicy, tak zwanego „de volaja”, czyli kotlet z piersi kurzej podawany z zielonym groszkiem? Ślinka idzie do ust, gdy się przypomni, jak to maselko po przekrojeniu kotleta tryskało do góry. Jeszcze zaraz po wojnie tak smakowicie tryskało.

A szaszłyk barani, ale nie taki, którym można by wybić oko sąsiadowi, ale mięciutki, poprzedzielany cebulką? A kuropatwy ze słoninką pod pachą i czerwoną kapustą? Nie chcę już mówić o porcji sandacza „po polsku”, z masłem i siekanymi jajeczkami, bo mi oczy wilgotnieją z tęsknoty za takowym. Ze łzą w oku również wspominam gotowanego węgorzyka w zielonym koperkowym sosie i różowy poemat łososia z rusztu. A co powiecie, dawni smakosze, o rydzach z patelni?

Mówią tylko o potrawach, które i dzisiaj byłyby dostępne, gdyby jakaś gospoda czy „jadłodajnia” pokochała nagle konsumentów. Starając się być taktowna, nie będę wspominać o blinach z kawiozem, bo wówczas wypomniano by mi mój wiek, kiedy to się takie przysmaki jadano, ani o zupie rakowej ze śmietaną i koprem.

Wystarczyłyby befsztyk, tryskający czerwonym soczkiem, z miękkimi frytkami, stanowiący rzadki frykas.

Piszę o tym z taką tęsknotą, ponieważ była to jedyna rozkosz zmysłowa dozwolona i przystępna dla starszych osób.

Czy naprawdę w Polsce, a ściślej mówiąc w Warszawie, nie ma smakoszy? Nieprawda, są. I to w tej samej dzielnicy. Jeden „Smakosz” jest na rogu Mokotowskiej i Koszykowej, a drugi mały „Smakosz” na Koszykowej. Z dużego „Smakosza” o późnej godzinie wysypuje się garstka zamożniejszych pijaków, a z tego skromniejszego cały dzień wyłażą na chwiejnych nogach gromady amatorów piwa. Ten mały „Smakosz” nie nazywa się już w ten sposób, przeszedł różne ewolucje i był przez jakiś czas bezalkoholowym barem ze zrazami i bitkami oraz smażoną kielbasą. Ale ponieważ okazał się być instytucją bynajmniej nie dochodową, więc powrócił do swojej dawnej formy ku uciesze mężczyzn. Nie mielibyśmy nic przeciwko tej pijalni, gdyby to nie było w samym centrum Warszawy i gdyby piwosze nie zagradzali drogi spokojnym przechodniom w jasny dzień. Podchmieleni faceci wpierw czulą się ze sobą, kładą sobie łapy na ramionach jak psy, które się obwąchują, a potem nagle — wrrr! hau, hau! I zaczyna się kłótnia, a często bójka.

Tyle obecnie robimy wkładów dla zagranicznych turystów. Odbudowujemy Zamek, urządzamy Stare Miasto jak istne cacko, budujemy tunele podziemne dla przechodniów — a oni uśmiechają się drwiąco, widząc tych piwoszów w centrum Warszawy, tarasujących przejście spokojnym przechodniom w biały dzień.

Niektórzy przechodząc koło nich zatykają nos, bo pijani jak wiadomo cuchną i zatrują powietrze wokoło. A jak wyglądają! Górnicy wyjeżdżający z kopalni to eleganciki wobec tych piwoszów. Szare facjaty z czarnymi kolorkami, za to oczy rumiane i nos... W ustach z żółtymi od tytoniu zębami na wpół wypalony papieros. A słówka, które im z buzi wyfruwają! Szkoda mówić, a już w żadnym wypadku powtarzać, można je co najwyżej wydrukować w jakiejś modnej współczesnej love story.

Przypomnę przy okazji, że w Związku Radzieckim pijakami nie zajmują się pisarze,

ale... milicjanci; sama widziałam, jak w Moskwie pijanego gościa, siedzącego na krawężniku, milicjant wziął pod ramię i zabrał ze sobą. Więcej pijaków tam nie widziałam.

Skąd się ten felieton wziął w książce Młodość dla wszystkich? Zaraz wytłumaczę. Nie będziemy młodzi i pogodni, nie będziemy mieć zdrowego czystego wzroku, jeśli będzie on wciąż karmiony widokiem zamroczonych alkoholem pijaków. Już nie mówią o tym, że uszy nam zwiędną i opadną „jak płatki zwarzonych mrozem tulipanów” (powiedziałby poeta) od paskudnych plugawych słów, których musimy wciąż od nich słuchać.

A więc walczmy, a jeśli to nic nie pomoże, to przynajmniej piszmy, piszmy jak najwięcej o tej naszej bolączce.

CZY NALEŻY CHODZIĆ DO ZAKŁADÓW KOSMETYCZNYCH?

Są kobiety, które są szalenie dumne z tego, iż nie chodzą do żadnej kosmetyczki.

— Jak żyję nie byłam — mówi z dumą zniszczona niemłoda pani.

— To widać — odparłam jednej z nich dobrotliwie. A ja uważam, że należy chodzić na zabiegi, pomoże, nie pomoże, a pieniądze się wyda, które tak swędzą damską torebkę. Poza tym spoczywając wygodnie w fotelu w zakładzie kosmetycznym, z maseczką białą cyrkowego kłowna nałożoną na twarz, osiąga się relaks tak zalecany przez yogów.

Jest się zupełnie wyłączonym z domowych kłopotów, z trosk, nawet różne dolegliwości, o których się wciąż myślało — mijają. Wypoczęta twarz, wygładzona „passami” delikatnych sprężystych palców kosmetyczki, wygląda po zabiegu inaczej, niż gdy się przyszło. Poza tym działa sugestia owej zwykle młodej i ładnej czarodziejki.

— Niech się pani teraz przejrzy w lusterku. Nikt by pani nie dał więcej jak pięćdziesiąt lat!

— A jak wezmę, tak jak mi pani radzi, dziesięć zabiegów, to na ile będę wyglądała?

— To zależy... może na czterdzieści. Z pani buzią jest dużo roboty, bardzo zaniedbana...

— Dobrze, wezmę dziesięć zabiegów, niech kosztuje co chce (oczywiście nie „co ja chcę”, tylko co ona)!

Gdy wychodzę z zakładu, portier nie kłania mi się.

— Nie poznał mnie! — konstatuje uszczęśliwiona.

Pewien portier w którymś z dużych zakładów kosmetycznych w Paryżu zarabiał mnóstwo pieniędzy na napiwkach.

— Jak to robisz, że otrzymujesz takie sowite pourboiry? — zapytał go się jego kolega.

— Sposób jest prosty jak dwa razy dwa: Gdy klientka wchodzi mówię „Dzień dobry pani”, a gdy wychodzi: „Do widzenia paniencie!”

Świetny francuski pisarz Randal Lemoine, autor książki *Te kochane maleństwa*, którą kiedyś tłumaczyłam, pisze o tych sprawach następująco:

„Gdy czytam różne tygodniki i pisma, zdumiewa mnie, że mogą jeszcze istnieć kobiety brzydkie, niezgrabne, które zrezygnowały z urody i młodości. Przecież zdawałoby się, że nic łatwiejszego, jak pozostać młodym i pięknym. Stosując to, co producenci kosmetyków polecają swoim czytelniczkom, żadna kobieta nie ma prawa mieć zmarszczek, włosów bez blasku, oklapniętych piersi, cery szarej lub oka nieświeżej ryby. A jeśli już chodzi o starzenie się, to doprawdy tylko lenistwo i obojętność na swój wygląd, tak sprawa jest prosta i nieskomplikowana. Uczucie uznania i podziwu ogarnia mnie, gdy wy czy tu j ę, jakie cudotwórcze

środki ofiarowują owi producenci naszym paniom. Na przykład: krem pollen z gąbek Morza Południowego, nawadniający i superradioaktywny, mleczko dziewiczych myszy z Gór Skalistych, odmładzający, przeciwko zmarszczkom itp. Sprawa jest zresztą stara jak świat i kosmetolodzy egipcscy z najdawniejszych epok proponowali pewnie damom z Teb maść na twarz z sadła Sfinksa, ze śliny byka Apisa lub na bazie jajek Chimery. Niestety mimo tych wszystkich cudownych środków spotyka się wciąż osoby pomarszczone, niezadowolone ze swego odbicia w lustrze, które nie doceniając wysiłków różnych producentów, powróciły do..., wody i mydła". U nas w Polsce, idącej wciąż naprzód ręką w rękę z Zachodem, namnożyło się również wiele rewelacyjnych środków upiększających, które z zapałem reklamują nasze czasopisma, a więc: Krem na tłuszczu z norek, z pyłków kwiatowych, na pszczelim mleczku (45 zł za słoik), na wyciągu z placenty, krem żółwiowy (działający powoli, ale skutecznie) itd. Gdyby kobiety знаły się trochę na wyrobach kosmetycznych, toby się tak nie dały nabierać i wiedziały, że tanie kremy są robione na wazelinie z dodatkiem pachnących olejków, droższe na eucerynie z lanoliną (te najmniej szkodliwe), a najdroższe, przeważnie zagraniczne, na olbrocie (tłuszcz wieloryb!) i białym wosku, który zakleja zmarszczki i naprawdę udelikatnia cerę, oraz na olejku migdałowym. Witaminy, które się do owych kremów dodaje, na pewno szkodzić nie mogą. Zmam tylko jeden rewelacyjny krem, którego się wcale nie reklamuje, a który w magiczny sposób gładzą za długo noszony przez właścicielkę buziak. To rumuński krem geriokainowy, wyrabiany przez rumuński Instytut Geriatryczny. Wcale nie jest łatwo go nabyć, nawet w Bukareszcie, i tylko przez protekcję. Ma bardzo silne działanie i używa się go tylko kilka razy w tygodniu. W prospekcie ostrzegają, aby być z nim ostrożnym, ponieważ na wrażliwą cerę może mieć ujemne działanie. Przynajmniej, że natłuszczenie skóry jest konieczne, wszystko jedno, czy to będzie nasz krem „Elf”, czy i)Albuminowy”, czy też „Odżywczy”. Oczywiście poprzednio należy dobrze wyczyścić skórę, przeciwieście skórzany but też się najpierw czyści, a potem smaruje pastą, aby się dobrze prezentował. Każda skóra potrzebuje tłuszczu, a ludzka — tłuszczu zwierzęcego, czyli lanoliny.

Z twarzą zresztą nie ma takiego kłopotu jak z... włosami. Cóż to za wrażliwy i tajemniczy produkt natury. Wiadomo, że od gwałtownego zmartwienia lub lęku włosy u zupełnie młodych kobiet potrafią kompletnie posiwieć. Pewna kobieta—sierżant, podczas ostatniej wojny, została skoczkiem. Gdy pierwszy raz skoczyła, obudziła się nazajutrz zupełnie siwa. Wcale jej się nie dziwię, ja na jej miejscu zrobiłabym się nie siwa, ale biała, czyli martwa ze strachu.

Stan włosów to odbicie stanu zdrowia. Gdy nasze włosy stają się kruche i łamliwe, możemy być pewni, że nie jesteśmy zdrowi. Włosy, przeciwnie niż wątroba, szalenie lubią kapustę oraz zieloną sałatę (witamina B) i gdy nam kapucha szkodzi, należy zażywać witaminę B—kompleks. Włosy lubią smrodki niektórych produktów, a więc cebulę, od której rosną, gdy się korzonki naciera „wonną plantą”. Nie trzeba sobie nic z tego zapachu robić i gdy mąż wróciwszy z pracy powie kręcąc nosem:

— Zdaje się, że się dzisiaj jeszcze nie kąpałaś — zbyć te słowa milczeniem.

W każdym dawniejszym dobrze zaopatrzonym domu stała faszka czystego spirytusu, robiło się z niego nie tylko cebulową wodę na włosy, ale i czosnkową. Na dziewięć łyżeczek spirytusu dawało się jedną łyżeczkę olejku rycynowego, o innym niż cebula, ale równie przykrym zapachu. Taki płyn działał wspaniale na porost włosów.

Dzisiaj czystego spirytusu z domieszką soku cytrynowego lub wiśniowego używa się u nas do... bawienia gości lub zapobiegania chandrze u pana domu.

A przecież we Francji wciąż się reklamuje wody i szampony na bazie olejku rycynowego, który działa również pobudzająco na porost rzęs.

Konkluzja: gdy powrócimy do przepisów kosmetycznych naszych babć i prababek, to będziemy mieć ręce liliowe od nacierania spirytusem na płatkach lilii, bujne kędziory od wody cebulowej i rzęsy jak nóżki stonogi — od olejku rycynowego. Jeśli będziemy chciały mieć śnieżnobiałą cerę, to możemy mieć krem ogórkowy własnej roboty, a na zmęczone oczy położymy płatki waty nasyczone wodą różaną lub naparem z bratków.

Mimo to nie łudźmy się, mężowie będą nas zdradzać tak samo, a przyjaciółki ujrzawszy nas po jakimś czasie, będą szeptać między sobą:

— Widziałyście, jak ona się posunęła?!

Jeżeli idzie o zachowanie młodości, to sprawa bywa czasem obosieczna. Znam jedną panią, która dzięki zabiegom i gimnastyce twarzy wygląda zadziwiająco młodo.

Nikt, nawet najbardziej zawzięte przyjaciółki nie naliczyłyby jej więcej lat niż sześćdziesiąt. Kiedyś jednak spotkała ją niemiła przygoda. Cyganka zaczęła jej wróżyć z ręki.

— O — rzekła — paniusia to będzie żyła długo... długo, przynajmniej do siedemdziesięciu lat.

Usłyszawszy to owa pani... zemdląca. Kończyła bowiem nazajutrz ową fatalną liczbę.

PRZYJACIELE I PRZYJACIÓŁKI

Gdy tak zwane przyjaciółki mówią mi po dłuższym niewidzeniu:

— Och, jak ty cudnie wyglądasz!

przypominają mi się dawne komedie, na przykład Moliera, gdy młodzieniec chcący sobie zaskarbić względy jakiejś starszej pani mówił jej pochlebstwa w rodzaju:

„O jakżeś piękna, pani!”, a obracając się „ma stronie”; „A cóż to za maskara!”

Przyjaźń prawdziwa kobiety do kobiety jest fikcją. Przeszkadza im zazdrość.

Zazdrość o wszystko — o młodszego i przystojniejszego męża w pierwszym rzędzie, o lepsze mieszkanie, o gosposię, no i oczywiście o ciuchy.

Wzbudzenie zazdrości u naszych kum to wybitnie kobieca przyjemność, której nie jesteśmy w stanie sobie odmówić. Czyż nie w tym celu pokazujemy im z niewinnym uśmiechem szmatki, któreśmy sobie przywiozły z zagranicy lub które nam z Ameryki przysłali krewni? Widząc zazdrość i nieomal zawiść w ich oczach, starajmy się dobrotliwie obniżyć wartość otrzymanych przedmiotów, ponieważ zazdrość u bliźnich trzeba umieć dozować, inaczej może stać się niebezpieczną.

Mówimy więc dyplomatycznie:

— Tak ci się ten materiał podoba? A ja uważam, że to lichota. I te kolory!

Albo:

— Ta sukienka to typowy ciuch jak z Bazaru Sóżyckiego. Owszem, te buciki są niezłe, ale ciężkie jak z naszego Chełmka.

Tak winna mówić mądra dyplomatka, znająca przywary swojej płci.

Może jednak największą zazdrość wzbudza w kobietach talent, co zresztą tak samo objawia się u mężczyzn w stosunku do kolegów z tego samego fachu. Jest to zazdrość groźna i nieubłagana.

Koleżanki–pisarki już prędzej darują kochającego męża, podróże zagraniczne, piękniejsze mieszkanie i zagraniczne kiecki niż na przykład — talent pisarski.

— To grafomanka — powiedzą pogardliwie, nie przeczytawszy zresztą nic pióra danej osoby.

.A jeśli ta pisarka ma powodzenie u publiczności i jest wciąż zapraszana na

wieczory autorskie, to ich zazdrość dochodzi do zenitu.

— Ja ci się dziwię, że ci się chce tak jeździć po różnych dziurach z tymi wieczorami — powie kuma–pisarka, wruszając ramionami. — Mnie by się nie chciało. Owszem, zapraszają mnie, ale ja zwykle odmawiam. Nie opłaciłoby mi się. Wolę siedzieć w domu i pisać.

Usta nigdy nie czernieją od kłamstwa, jak to się zwykle mówi, więc kłamczucha jest spokojna, iż tamta tego nie zauważy i przyjmie to, co ona mówi, za prawdę. Nie domyśla się, jednak, że jest ona równie cwana i cieszy się, że wzbudziła w koleżance taką zazdrość. A trzeba wiedzieć, że pisarze o nic nie są tak zazdrośni, jak właśnie o te spotkania z czytelnikami, podczas których nie tylko że można się wygadać, nie narażając się na to, że ktoś z naszego otoczenia przerwie nam i zacznie opowiadać coś z całkiem innej beczki, ale w dodatku zarabia się dobrze i nawiązuje cenne kontakty.

— I że cię to nie męczy — doda zazdrośnica — ostatecznie w twoim wieku.

— Gdy zarabiam, to się nie męczę — odpowiadam na to niezmiennie. Nie dodaję: Ciebie by też nie; męczyło, tylko że jesteś za mało znana, aby cię chcieli zapraszać.

Gdybym to powiedziała, ona z fałszywej przyjaciółki przemieniłaby się w otwartego wroga, co jest chyba jeszcze gorsze.

Przyjaźń bez fałszu u kobiet można uzyskać tylko wtedy, kiedy się jest chorym, ale nie gdy się popadnie w pieniężne kłopoty, ponieważ wówczas będą się bały, że się od nich zechce pożyczyć pieniędzy.

Gdzie więc kobieta może znaleźć prawdziwą przyjaźń? U mężczyzn?

Tylko że to się wówczas nazywa inaczej...

Jest jednak gatunek męski, powiedzmy delikatnie, trochę kobiecy, który nie pragnie od kobiet żadnych erotycznych świadczeń, a potrafi być z nimi w dłuższej przyjaźni oceniając w nich inne zalety niż fizyczne. Jest to wówczas niezazdrośna przyjaciółka, taka, której można się zwierzać ze swoich kłopotów i trosk, przyjmując w zamian jej zwierzenia. Szczególniej w późniejszych latach taka przyjaciółka–przyjaciel jest istnym podarunkiem losu! Nie widzi, żeśmy się „posunęły” lub że mamy nietwarzową fryzurę, nie jest zazdrośny o nowe ciuchy, nie pyta się gorączkowo:

— Powiedz, gdzieś kupiła te pantofle, sprawię sobie takie same. A ile kosztowały?

Albo nie zapyta gwałtownie chwytając nas zniemacka za rękaw:

— Czy to czysty jedwab?

— Gdy go będziesz dotykała, to przestanie być czysty — odpowiedziałam raz złośliwie takiej natarczywej damie, która odtąd przestała się do mnie odnosić z rzekomą przyjaźnią.

Nasz przyjaciel Androgin jest zwykle bardzo inteligentny, odczytany i gdy człowiek chce z nim pomówić o jakiejś nowej poczytnej książce, nie przerwie nigdy tak jak kobieta:

— Guziczki! Musisz sobie do tego swetra sprawić inne guziczki!

Albo:

— Nie, nie byłam na tym filmie, za to popatrz, jaki sobie sprawiłam kapelusik.

Podoba ci się? A wiesz, ile zapłaciłam? Grosze.

Oczywiście, że nie ma, można rzec, słońca bez plam. I nasz przyjaciel o kobiecej delikatności i subtelności potrafi być czasem rozgrymaszony, a przede wszystkim obraźliwy jak ekspedientka dzisiaj, a panna służąca dawniej, potrafi nawet przestać nam się kłaniać na ulicy. Może ktoś z czytelników wspomnieć o mężach i

czy oni nie potrafią być czasem prawdziwymi przyjaciółmi swojej żony...
Odpowiemy na to, że jest to dzisiaj dość rzadki wypadek i spotyka się go
przeważnie u małżeństw dawnej daty, które kawał życia ze sobą przeżyły.
W każdym bądź razie łatwiej jest zrobić z kochanka męża niż z męża —
przyjaciela.

ABY BYLI DLA

Po jakiemu to? Po taiwańsku czy po triobriandzku?

Nie, to po dziecinnemu. Pewna czteroletnia dziewczynka, gdy otrzymała jabłko czy
pierniczka, wyciągała natychmiast drugą rączkę i prosiła, aby w nią włożyć to
samo.

— Aby byli dla (aby były dwa)! — mówiła stanowczym głosem.

Rodzice czy goście śmiejąc się wkładali jej do drugiej rączki jabłko czy
piernika. Dziecko to rozumowało logicznie, że gdy się jedno zje, to będzie w
zapasie i druga porcja. To nie była chciwość czy łakomstwo, tylko rozsądna
profilaktyka, którą powinniśmy wziąć pod uwagę.

Zresztą i przyroda stwarzając człowieka wzięła sobie to za zasadę i jak wiadomo
posiadamy dwie ręce, dwie nogi, dwie nerki (jedną zapasową), dwoje oczu, dwoje
uszu, dwie sutki, dwie dziurki od nosa, no i na tym niestety koniec. Powinniśmy
mieć jeszcze dwa serca, dwie wątroby, dwie trzustki. Już innych drobiazgów nie
będziemy wyliczać, ale i one w podwójnym wydaniu byłyby przez nas mile widziane
i pożyteczne. Może natura obawiała się, że człowiek tak wspaniale wyposażony,
posiadający dwa serca i dwie wątroby, będzie żył zbyt długo. Niech nam więc
wystarczy to, czego mamy do pary. Co do ust, to wiedziała, co robi.

Wyobraźmy sobie gadatliwe kumoszki, gdyby zaczęły naraz kłapać dwojgiem ust.
Koszmar!

Ale do czego zmierzamy pisząc to?

Otóż do tego, żeby mieć zawsze zapasowe przedmioty, te z rodzaju najbardziej
„gubnych”, do których należą w pierwszym rzędzie okulary i parasolki. Każdy
ptaszek, kanarek, kos przywiąże się po jakimś czasie do człowieka, tylko nie te
złośliwe przedmioty, które nas wprost nie cierpią i płatają nam co chwila głupie
figle.

— Jezus Maryjo! — woła pani, która na wczasach campingowych zgubiła optyczne
okulary. — Co ja teraz pocznę?

— Miły Boże! — jęczy inna, która w sklepie zostawiła parasolkę. — Zostawiłam
parasolkę, wiem gdzie, przy ładzie w naszym Sam-ie! Nie warto się upominać, na
pewno już ją jakaś klientka porwała!

Aby więc uniknąć tego rodzaju drobnych nieszczęść, które targają nam nerwy i
skracają życie, należy kupując parasolkę od razu zakupić dwie. Wydatek spory,
ale za to ile wewnętrznego triumfu. Mówi się wówczas bez alteracji, zupełnie
spokojnie:

— Zostawiłam w kinie parasolkę, nic się nie stało, mam w domu drugą, nawet
ładniejszą.

To samo powinniśmy uczynić z okularami, z pincetką do wrywania brwi, z
pilnikiem do paznokci — tych powinniśmy mieć nawet trzy sztuki, ponieważ znane
są ze swojej ruchliwości i „gubności”. Gdy przypadkowo w naszym handlu ujrzymy
rękawiczki ładne i na naszą miarę, wzdychamy, ale kupujemy od razu dwie pary,
ponieważ wiemy z góry, że jedną, tę z prawej ręki, zgubimy jadąc windą lub
płacąc w sklepie. Mężczyźni mają mniej kłopotu z przedmiotami „gubnymi”. Zwykle
zapodziejają gdzieś spinki i świeżo zakupione sznurowadła, ale jak już chodzi o
poważniejsze zguby, to potrafią zostawić w taksówce teczkę z ważnymi papierami,

co się kobietom rzadziej zdarza. Natomiast gubią... portfele.

— Ach — jęczą — musiałem zostawić w sklepie. Miałem tam wszystkie dokumenty. Trzeba dać znać na milicję! Boże, co za nieszczęście!

Portfele zatem należy mieć dwa. Jeden z dowodem i książeczką, drugi z podręcznymi pieniędzmi. Ten z dowodem i książeczką nie musi z nami wychodzić na ulicę po zakupy. Niech leży w domu w szufladzie (choć nie jest powiedziane, czy stamtąd nie wylezie niespodziewanie i nie przeniesie się do drugiej starej torebki. Jest to „towar chodliwy” i lubi nam płać figle). Podejmując w PKO pieniądze, trzeba uważać, aby nie wziąć jednego tysiąca w kawałku, ponieważ jako cieniutki świstek chętnie wylatuje z torebki. Prosimy więc o dwa zielone, tłuste, tak zwane „brudasy” (dawniej „górale”), aby byli dla!

W małżeństwach zasada „aby byli dla” jest sprawą codzienną i młodzi małżonkowie zazwyczaj nie zadowolają się jednym krzyżującym szczęściem, ale chcą mieć szybko i drugie.

A mężowie? Znamy ich dobrze. Jedno szczęście małżeńskie to dla nich za mało i po jakimś czasie znajdują sobie drugie. Aby byli dla!

VIVA ITALIA

(MONOLOG PRZEZ TELEFON)

Więc jedziesz do Włoch z wycieczką autokarem? Radzę, nie mów, że z wycieczką, mów, że indywidualnie do ciotki, która wyszła za mąż za Włocha, ma mnóstwo pieniędzy i przesyła ci zaproszenie. Rozłóż przed sobą tę mapkę, którą ci dałam. Wszystko dokładnie dla ciebie wynotowałam.

Skoro jedziesz autokarem, to musisz się dowiedzieć, ile ma w danej miejscowości minut postoju, to jedynie jest ważne.

Co masz ze sobą zabrać?

Tylko naszą czystą wyborową i myśliwską kielbasę. Weź kilka kilo, ale pamiętaj, zapakuj po pół kilo w celofan i włóż do ręcznej torby. Niby że to twoje zapasy na drogę. Kto spojrzy na ciebie, uwierzy, że musisz się na pewno solidnie odżywiać.

Teraz spójrz na mapkę. Z Ventimiglia jedziemy do Wenecji. Wszyscy wysiądą i pójdą oglądać Pałac Dożów. Nic specjalnego. Tylko musisz się dowiedzieć dokładnie, ile czasu to będzie trwało. Tam jest mnóstwo sal do zwiedzania, więc masz czas.

Naprzeciwko, na Placu Marka, jest mały sklepik. Ciuszki. Właściciel to Polak ożeniony z Włoszką. Dobrze byłoby trafić tak, aby żony nie było w sklepie. Pokażesz mu kielbasę i natychmiast przeprowadzisz z nim transakcję na jakieś ciuchy. Poczęstuje cię winem i obejmie w pół, nie musisz się zanadto bronić, bo zaraz jedziecie dalej. Powie ci, że „umiera z tęsknoty za Polską”, na co ty pomyślisz, że to jeszcze najłżejsza forma umierania, i pozwolisz mu się pocałować w karczek, wtedy on sprzeda ci za pół ceny złote ranne kapcie, takie jakie ja mam na nogach. U nich ranne — u nas na ulicę.

Potem Siena — nic ciekawego. Oni wszyscy pójdą zwiedzać katedrę, to będzie trwało dość długo. A ty przez ten czas skoczysz do małego sklepiku z pantoflami.

Pochodzisz w nich trochę, a potem sprzedasz u nas w komisie za patyka. Będzie cię to kosztowało dwa kilo kielbasy.

Spójrz na mapę, masz tam naznaczone postoje i wszędzie krzyżykiem jakiś atrakcyjny sklep. Tak jak w Bedekerze hotele. Trzy krzyżyki oznaczają sklepy polskie, gdzie już na nas czekają i gdzie mają przygotowane dla Polaków atrakcyjne towary. Od razu jak się dowiedziałam, że się wybierasz do Włoch, postanowiłam ci to dać — to jest znakomity plan. Jedziesz od razu z wyraźnym

celem i nie tracisz czasu na głupie szukanie. Trzeba sobie nawzajem pomagać. A są tacy, którzy zwiedzają ten piękny kraj bez żadnego planu. Zabierają na przykład do Włoch haleczki z NRF-u, a przecież oni mają lepsze. Każdy kraj ma inne zainteresowania. Należy trzymać rękę na pulsie zagranicznego handlu. Więc tak: do Bułgarii zabierasz kapy na łóżko. Idą jak woda. Do Rumunii karty do gry, do Anglii — grzybki, a do Włoch kielbasę i czystą wyborową.

Z Neapolu wycieczka pojedzie do Pompei. Nic ci to nie da. Widziałas po wojnie równie zburzoną Warszawę. Ruiny ci nie zaimponują, no i żadnych sklepów.

Powiesz, że wolisz za własne dewizy pojechać z Neapolu do Rzymu. To jest niedaleko. Wspomnisz, że pragniesz ujrzeć „Wieczne Miasto”. To zrobi dobre wrażenie. A ty będziesz wiedziała ode mnie, że tam sprzedasz dobrze aparat fotograficzny. W Rzymie są piękne sklepy i też już znają Polaków.

Na twój widok zawołają „cista wiborowa”! Za aparat fotograficzny kupisz kilka par włoskich pantofelków. Sprzedasz i koszty podróży ci się zwrócą. Pytasz się, co będziesz opowiadała w kraju, jak wrócisz?

Jakie wrażenia ze słonecznej Italii? A któż się dzisiaj o takie rzeczy pyta.

Każdy będzie tylko ciekaw, co sobie kupiłaś i co masz na sprzedaż.

WSPOMNIENIE PANA PASKA

Łatwo się domyślić, że nie mam oprócz nazwy nic wspólnego ze słynnym panem Paskiem znanym nam z literatury ze swoich wspomnień. Może jedno, co nas łączy, to wydry. On miał jedną tresowaną, a ja mam ich mnóstwo, stają przed wystawą sklepową z damską wykwinną bielizną i na mój widok wzruszają ramionami. Muszą szybko wytłumaczyć, że jestem paskiem elastycznym, robionym na wzór zagranicznych pasków dla tęgich pań. Jestem doskonale skrojony i wraz z biustnikiem stanowię jedną całość. Jestem rozciągliwy i prawie na każdą figurę się nadaję, mimo to leżę! Leżę i próżno od miesiący czekam na amatorkę.

Jedne przyglądając mi się twierdzą, że jestem za drogi! Mój Boże, czy kobiety które chcą się mężczyznom podobać, powinny oszczędzać na swoim wyglądzie? Inne mówią znów, że nie wytrzymałyby w takim pancерzu.

— Jaki ja tam pancерz, cóż w takim razie miałyby powiedzieć te elegantki z dawnych czasów, które ścisnęły się moim pradziadkiem gorsetem. Wiem z opowiadań, że w zamożnych domach panny służące sznurowały swoją panią tak mocno, że im oczy i biusty wychodziły na wierzch (to znaczy nie owym pokojówkom, tylko ich paniom), ale za to do gości wychodziły cienkie w pasie jak osy. Ponieważ owo narzędzie tortur sięgało tylko do piersi, więc biusty, podwyższone w ten sposób, były zawsze sztucznie wypuczone i okazałe. Zdrady małżeńskie zawsze istniały, ale były mocno utrudnione przez gorsety, bo nim gorący kochanek zdołał odsznurować ów przyrząd, amantka spoglądała na zegarek i wyganiała go z sypialni, ponieważ o tej godzinie mąż miał wrócić do domu. Nim amant dobrał się do gorsetu, musiał jeszcze przejść całą plejadę haftek i zatrasków, którymi zapięty był stanik pięknej pani. Należy przy okazji przypomnieć, że bluzki wpuszczone do spódnicy nastąpiły dopiero z początkiem naszego wieku, w, epoce „szportów”, „lawn-tenisa” i „welocypedów”.

Damy były więc podwójnie ściśnięte, wpięte gorsetem, a z wierzchu stanikiem od sukni. Mimo owych codziennych tortur były wesołe, pogodne, nie chorowały więcej niż dzisiejsze kobiety i rodziły zdrowe potomstwo.

Szanujące się panie starały się nie wystawiać na widok publiczny swojego „błogosławionego stanu”, jak to się wówczas mawiało, i ukrywały go pod szerokimi płaszczami, pelerynkami i suto marszczonymi spódnicami. Nosiły też specjalne ciężowe gorsety.

A dzisiaj! Spójrzmy na kobiety polskie w sezonie letnim. Koszmar! Młodym mężatkom kolebie się przyszyły potomek pod cienką tkaniną mini-sukienki drukowanej w gigantyczne desenie kwiatowe. Życzymy przyszłemu obywatelowi, aby jego życie popłynęło po różach, ale odwracamy od tego widoku oczy z zażenowaniem. Młoda kobietka, ledwie po maturze, jest szalenie dumna z tego, że wkrótce zostanie matką, i pokazuje to wszystkim wokoło. Ale dlaczego ich matki, którym już ten honor i zaszczyt nie grozi, naśladują swoje latorośle i swoich obfitych: kształtów nie ściskają paskami, tylko pokazują je w całej swojej okazałości — tego nie zrozumiemy.

Maksi-brzuch — pod mini-jupe! Nie wiadomo, czy to kompletny brak kokieterii i totalna obojętność na swój wygląd, czy też pokaz stanu swojej zamożności? Jestem tęga, bo dobrze się odżywiłam i stać mnie na to!

Sądźmy, że to przede wszystkim zamiłowanie do wygody. Nie cierpię, aby mnie coś ścisnęło i uwierało — powie niejedna z nich — nigdy nie nosiłam żadnego pasa ani biustnika i nosić dalej nie będę, a jak się mam komuś podobać, to i tak ...będę się podobała!

I tak mówią Polki, które dawniej uznawane były poza paryżankami za najelegantsze kobiety na świecie. Dzisiejsze nie dbają zupełnie o linię, ale za to sprawiają sobie kosztowne zagraniczne sweterki, pod którymi kołyszają się ciężkie, melonowate piersi, nie podtrzymywane żadnym stanikiem. Modnisie noszą obcisłe spodnie ukazujące odpowiednik wydatnego brzucha w formie olbrzymiego pupska. To wszystko — ja, elastyczny pasek, ująłbym w karby, ale cóż kiedy one jak gdyby siliły się na to, aby przedstawiać najmniej estetyczny widok. A wszystko dlatego, że: kochają jeść!

— Ja wiem, że powinnam schudnąć — mówi grubaska i zmiata z półmiska resztę kartofli w tłustym sosie.

Przypatrzmy się tylko na wspólnym pensjonatowym obiedzie, jak owe grubasy ładują w siebie, ile się zmieści, a to, czego się już nie powinno, aby jednak przeszło przez gardło, dopychają chlebem.

Opowiadał mi dziadek-gorset, że modna przed wojną była tak zwana „przerywana głodówka”. A więc: rano normalne śniadanie, kawa albo herbata z mlekiem, dwie bułeczki, trochę sera i wędliny. Do godziny dwunastej nic. Potem drugie śniadanie, a więc: jajeczniczka, chlebek, masło, czasem kawałek ciasta, herbatka, coś z owoców — i nic więcej aż do obiadu. Obiad jak obiad: zupka, mięso z kartofelkami, sałatka sezonowa, owoce. Do kolacji — nic. Chyba herbatka i kawałek ciasta. Wieczorem kolacja lekka i strawna, a więc: zimne mięso, coś z wędliny, trochę domowego ciasta, szklanka mleka i nic więcej aż do rana.

— I co — zapytałam się dziadka — czy kobiety chudły od tej „przerywanej głodówki”?

— Nie potrzebowały — odparł dziadek — bo ja je ścisnąłem cały dzień aż do północy spać. Tłuszcz trzymany w karbach nie miał się kiedy rozrosnąć i rozbujać. Tęgie i rozlane były dopiero stare babcie, które nie miały już żadnych pretensji. Te, na szczęście dla nas, gorsetów nie nosiły.

— To ja już wiem, dlaczego współczesne Polki takie są tęgie — wykrzyknęłam odkrywczo — uprawiają wszystkie „przerywaną głodówkę”, a nie kupują i nie noszą nas, panów pasków!